№ 17. Warszawa, dnia 14 (26) Kwietnia 1879 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu zlr 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

LISTY Z PODRÓŻY

pisane przez

Stefana Marusińskiego do rodziny w kraju.

(Dalszy ciąg).

W Egipcie, Aleksandrya d. 18 lipca 1878 r.

Chorowałem długo i bardzo ciężko. Na Malcie bowiem zaraziłem się żółtą febrą i do tego wskutek upałów przyłączyła się zgniła gorączka tak, że mię już bez przytomności tutaj dowieziono. Co się ze mną działo nic nie wiem. Odzyskawszy przytomność znalazłem się w celi Braci chrześciańskich, gdzie mię na prośbę agenta méj firmy umieszczono. Wycierpiałem straszne męczarnie, a jak mi jeden braciszek mówił, to już lekarz miał zwątpić o życiu. Opiekę i staranie miałem bardzo dobre, lekarz przychodził 5 razy dziennie, o lekarstwo i inne potrzeby księża się starali, dzień i noc miałem kogoś przy sobie. Mówić mi niewolno było. Agent naszéj firmy przychodził często i pocieszał mię w mem nieszczęściu. Poczciwy człowiek! Obecnie przy pomocy lekarskiéj a więcéj jeszcze méj silnej natury udało się pokonać chorobę i teraz czuję się jak najlepiéj.

Zostaję tutaj w Aleksandryi a zatrudnienia jest dosyć, bo zbiór bawełny rozpoczęty. Co dotyczy rzeczy o które byłem niespokojny, to te częściowo odnalazły się jakoteż weksle i listy, tylko złoty zegarek, który dostałem odjeżdżając z Algeru, zginął bezpowrotnie. Kto go wziął dociec trudno, konsul angielski robił starania lecz naprózno, nic się nie mógł dowiedzieć. Teraz wszyscy zakonnicy są memi dobrymi przyjaciółmi, dostałem od nich na pamiątkę kwiatki z Jeruzalem, ułożone jak obrazek, które będę chciał przesłać do domu. Odwiedzam ich często i bardzo mi są radzi, jest pomiędzy nimi kilku Niemców a ci szczególniéj mnie polubili. Przez cały czas choroby nietylko że firma zapłaciła wszystkie koszta, lecz nawet wydano mi podwójną pensyą. Będąc w zeszłym tygodniu u doktora ucieszyłem go moim stanem zdrowia: powiedział że choroba ta była niejako chrztem po którego przebyciu innéj obawiać się już nie potrzebuję. Mieszkam tutaj u jednéj rodziny włoskiéj, gdzie pokój wynająłem lecz kuchnia włoska niebardzo mi smakuje: trzeba się do niéj długo przyzwyczajać.

Zajęcie moje jest rano w porcie, przy odbieraniu i ekspedyowaniu towarów na okręta, po południu zaś korespondencya i zajęcia kantorowe, lecz nie zostaję tu na długo, w przyszłym bowiem miesiącu udaję się do górnego Egiptu. Zajęcia tam nie będę miał uciążliwego, przytem klimat najzdrowszy w świecie, pensyą od 1 września podwyższają mi, z dodatkiem iż wolno mi także na swoją rękę interes prowadzić. To też zamyślam zakupić tu trochę towarów i zaraz handel rozpocząć, a interes można zrobić. Odbywa się tu bowiem handel zamienny: za materye wełniane, bawełniane i różny towar europejski, bierze się w zamian piasek złoty, kość słoniową i skóry, co znów wszystko do Europy dobrze się sprzedaje. Szef bióra naszego z Port-Said zawiadamia żebym około 15 września był u niego, zkąd po ułożeniu się mam jechać do Kairu. O tem powiadomił mnie nasz agent przedwczoraj, i za jego staraniem dostałem tę posadę. Cóż to za poczciwa dusza w tym Angliku, co wieczór jestem u niego na kolacyi i przy herbacie zawsze gawędzimy, bo jest wielkim naszego kraju przyjacielem. Żona jego Szkotka, przystojna i miła kobieta, lubi mnie bardzo i zawsze do kantoru przyséła mi po południu czarną kawę. Za to wszystko daję dzieciom jego od czasu do czasu lekcye języka francuzkiego. Agent ten ma także swój własny interes win i delikatesów, bo kupcy angielscy nie przeciążają zajęciem ludzi i dozwalają także dla siebie coś zarobić. Jakże wielkie pieniądze ta Anglia na bawełnie zarabia, to nie do pojęcia. Całe okręta napełnione tym towarem udają się do Anglii, w Egipcie bowiem uprawa bawełny i trzciny cukrowéj stoi wysoko Przedmioty te są tu za bezcen i sto za sto dają zarobku przy sprzedawaniu ich do kontynentu europejskiego.

Droga z Algeru do Malty była prześliczną, pogoda piękna, morze spokojne. Płynąc wzdłuż wybrzeży Afryki miałem zachwycające widoki przed sobą, nocą zaś cudnem zjawiskiem była fosforyzacya morza. Po zachodzie słońca gdy zmrok zapada pokazują się od czasu do czasu maleńkie ogniki, po chwili ilość ich zwiększa się tak, że gdy noc zapadnie cały prąd wody powstały ruchem okrętu wśród spokojnéj płaszczyzny morza, błyszczy jak rzeka lawy srebrnéj przetkanéj dyamentami. Po trzechdniowéj podróży, przybyłem na Maltę do miasta Valetty, gdzie cały dzień bawiłem i tam z pewnością zaraziłem się tą febrą od indyjskiego wojska Anglii. Port wspaniały, a miasto na skałach malowniczo położone, składa się z uliczek nieregularnie i spadzisto w różnych kierunkach idących. Domy wązkie, jednopiętrowe po części, z balkonem na froncie są bardzo staréj struktury. Mieszkańcy mówiący odcieniem arabskiego języka, są ludźmi fałszywemi, chytrymi, do kradzieży i mordu nadzwyczaj pohopni, to też na całem wybrzeżu afrykańskiem wszyscy nimi gardzą. Wojska indyjskie które na Malcie widziałem, wyglądały bardzo marsowo i malowniczo, przywieźli z sobą ogromnego cielca z Indyi, któremu cześć boską oddają. Bożyszcze to z pozłacanemi rogami i w koronie z kwiatów zabawnie wygląda. Po zwiedzeniu jeszcze kilku osobliwości w mieście i porcie udałem się z powrotem do okrętu. Wkrótce potem podnieśliśmy kotwicę i port opuścili. Na drugi dzień febra już się po-

kazała i musiałem się położyć oddawszy kapitanowi adres agenta naszego. Do kajuty przychodzili z początku majtkowie dla podawania wody i obsługi. Co się późniéj działo nic nie wiem, słabe tylko jak sen pozostało mi wspomnienie, dopiero tak po dwóch tygodniach odzyskałem przytomność. Od tego czasu zaczęło się polepszać, tak że już mogłem łóżko opuścić, zrobić małą przechadzkę w cienistym ogrodzie klasztornym i zwolna przyszedłem przecież do siebie. Teraz znów przy dobrem zdrowiu pracuję jak przedtem, a wolnym czasem zwiedzam trochę okolice, pamiątki starodawne, udaję się na przechadzkę nad Nil i t. p. Niepokoi mnie tylko brak listu z domu, jak się tam wszyscy miewają, jakie zbiory, oraz co słychać? Bo tu jak to za morzem europejskich nowości żadnych a gazety to o tydzień późniéj przychodzą. Nie uwierzycie jak mię to podwyższenie pensyi ucieszyło, widać że pamiętają o mnie bo sam nie przypominałem się.

Tak więc pensyi mam 15 funt. ster. na miesiąc, wprawdzie zajęcie jest i pracować trzeba, ale przynajmniéj umieją pracę ocenić. Co mię bardzo cieszy to zdrowe oczy, bo tu prawie połowa ludności jest ślepą na jedno lub obadwa oczy. Przytem nadzwyczaj zbawiennie działają wyrzuty jakie dostaję na całem ciele, wprawdzie swędzi to straszliwie ale wszyscy mi mówią że to znak bardzo dobry i trzeba się cieszyć, bo to zdrowiu pomaga. Ja się więc cieszę lecz jeszcze lepiéj drapię. Wyrzuty te dostaję wskutek podnoszenia się Nilu, który w październiku i listopadzie będzie wylewał. Ponieważ tutaj ulice nazwisk nie mają, a o listonoszach nikt nie śni, listy więc trzeba oddawać na tę pocztę któréj okręt najpierwéj odchodzi.

Posyłam kochanéj Mamie obrazeczek z kwiatków z góry Oliwnéj, a Stasiowi do jego zbioru dwie marki Egipskie z piramidami i Sfinksem.

(d. c. n.)

Słowik i Róża.

Wśród woni kwiatów, w cienistym gaju,
Po nad srebrzystym brzegiem ruczaju,
Wśród cienia drzew,
W majowy wonny wieczór i ranek,
Słowik czarownéj wiosny kochanek,
Wywodził śpiew.

Zaledwo słonko blaski złotemi
Ostatni uśmiech posłało ziemi,
Wnet cichnie bór,
Tylko w wieczoru powietrznéj fali
Dźwięczy i płynie daléj, a daléj,
Téj pieśni wtór.

Z tonami pieśni, z wieczorną ciszą,
Kwiatki leciuchno główki kołyszą,
I o czémś śnią,
Tuż obok róża bledziuchna biała,
Duma i marzy wsłuchana cała,
Listki jéj drżą.

Kropelki rosy jako łzy czyste,
Jako perełki jasne srebrzyste,
Tak błyszczą się:
Z tych pereł co dzień w serca pokorze,
Do stóp Twych Świętych Wszechmocny Boże
Dań swoją ślę.

Och! w tę noc cudną cichą, majową,
Gdy jasny księżyc świeci nad głową,
Gdy piosnka drży,
Gdy tony dźwięczą tęskno miłośnie,
O nieustannéj uczucia wiośnie,
Cóż róża śni?

Cóż ona winna że w skwarnéj porze,
Kiedy huragan warczał po borze,
Gdy ścichnął śpiew,
Gdy krople rosy wypiło słońce,
Opadły listki smutne, więdnące,
Pod stopy drzew.

Bo gdy skwarniejszy coraz był ranek,
Słowik majowéj wiosny kochanek
Uleciał w dal!
O różo moja! cóż ci się śniło,
Cóż ci się biedny kwiatku marzyło,
Żal mi cię żal!...

J—a—

FLAMINIA.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg).

XIV.

Majątek pana Krzysztofa oddalony był od Tuliwód dobrych dziewięć mil. Leżał on już w pasie czarnéj podolskiéj ziemi. Nie był to majątek dziedziczny w całéj dzisiejszéj rozciągłości pradziad pana Krzysztofa miał tutaj tylko mały folwarczek, o stu morgach ziemi i był tak zwanym cząstkowym dziedzicem obszernéj posiadłości, która z powodu pięciu czy sześciu cząstkowych dziedziców nazywała się Częstodwory.

Przez kilka pokoleń utrzymywał się ród pana Krzysztofa przy jednym folwarku walcząc przeciw wszelkim niebezpieczeństwom wydziedziczenia. Różnie wiodło się cząstkowym dziedzicom a autenatom pana Krzysztofa, aż wreszcie znalazł się w rodzie człowiek, który położył grunt do lepszéj przyszłości rodu. Był to ojciec pana Krzysztofa. Widząc już na schyłku rodzinny majątek, zmienił tryb życia dotychczasowych dziedziców Częstodworów i z prostego posesyonanta stał się prostym robotnikiem. Wziął na siebie kubrak szaraczkowy, na nogi juchtowe buty i już z tym strojem nie rozstał się do śmierci. Nawet w testamencie wyraźnie kazał się w tym stroju pochować, motywując to dziwactwo łaciną: *Sic itur ad... fortunam*! Zgodnie z nowym programem nie pozwolił i jejmości innych strojów prócz domowego płótna a na święto perkalu, Na jadło składała się sama produkcya domowa, na bakalie z innych stref nie pozwalał.

Tym samym programem było także objęte wychowanie jedynaka. Do dziesiątego roku chodził boso i pełnił służbę nadzorcy przy mniejszych robotach. Potem zawoził go dziedzic-robotnik co roku na dziesięć miesięcy do miasta powiatowego, gdzie jedynak przez ten czas pobierał naukę. Mieszkał u bakałarza a żywił się własną strawą, dostarczaną co miesiąc z domu.

Po siedmiu latach rozrósł się pan Krzysztof jak dąb polski w zwyż i w szerz. Gdy ojca o pół łokcia przerósł, uznał także za stosowne zakończyć naukę i jedynaka wziął do gospodarstwa, zrobiwszy go od razu komendantem gorzelni i stajni wołowéj.

W takiéj atmosferze wyrósł pan Krzysztof, a resztę edukacyi nabył na zjazdach jarmarcznych i wycieczkach sąsiedzkich. Dobry miał jednak grunt duszy, bo w szkole takiéj wcale się nie zepsuł, tylko jak to zazwyczaj mówią między ludźmi, trochę się ogładził.

Zdawało się ojcu pana Krzysztofa, że obowiązku swego na ziemi już dopełnił, gdy nietylko swój folwark utrzymał ale nawet pod jeden herb całe Częstodwory zgromadził. Wtedy mógł spokojnie umrzéć a wierna towarzyszka życia kazała na kamieniu grobowym wyryć po łacinie: *Sic itur ex mundo*! W ten sposób przerobioną już raz przez ojca pana Krzysztofa łacinę przerobił miejscowy proboszcz, co miało oznaczać: Tak powinien człowiek schodzić z tego świata! Restytucyi pierwotnego znaczenia téj łaciny: Sic itur ad ustra, nie uważał za stosowne a w przeróbce nieboszczyka przeglądała wyraźnie pycha i samochwalstwo.

Pan Krzysztof jako spadkobierca życiowego programu swego ojca miał teraz nawet napis przed oczyma, jak ma nadal swoje życie urządzić. Wprawdzie do urzeczywistnienia takiego programu niezbędną była towarzyszka życia, o tę jednak nie tak łatwo było panu Krzysztofowi, a to z różnych przyczyn.

Pierwszą przyczyną był program ojcowski i wdrożenie się do tego programu pana Krzysztofa.

Ojcu zdawało się, że dla swego jedynaka już wszystko zrobi, jeżeli zostawi mu okazały majątek i takie da mu wychowanie, jakie będzie gwarancyą, że jedynak tego majątku nie straci. I w tym wybornie mu się udało. Pan Krzysztof nietylko, że majątku nie marnotrawił, ale spłacił nawet bankowe długi i pod tym względem był unikatem w całym powiecie. W promieniu dziesięciu mil nikt od niego nie znał się lepiéj na gorzelni i wypasie wołów, nie mówiąc już nic o rzepaku, kukurydzy, których był najpierwszym w całym powiecie plantatorem.

Przy takiem szczęściu w produkcyi gospodarskiéj i przy znakomitym już majątku, nie miał jednak pan Krzysztof szczęścia do panien okolicznych. Wprawdzie narzucali mu się nieraz ciotki i wujaszkowie ze swemi kuzyneczkami, które „dobrze sprzedać się chciały", ale pan Krzysztof wolał kupować woły i kukurydzę do gorzelni niżeli meble domowe, jak się zwykł wyrażać, nie przynoszące mu żadnych korzyści, a za to wymagające wielkich wydatków. Miał pod tym względem zdrowy instynkt.

Powtórną przeszkodą w sekretnych intencyach pana Krzysztofa była wszczepiona mu przez ojca natura gospodarska. Raz czy dwa zamarzył nawet pan Krzysztof o towarzyszce życia, ale skończyło się na marzeniu. Wypadła bowiem albo kampania gorzelniana, albo trzeba było z wołami do Wiednia pojechać, a tymczasem ktoś mu pannę poderwał w chwili, gdy on właśnie z trzosem pieniędzy z Wiednia wracał.

Tak więc w zacnéj spuściźnie po ojcu zostało coś, co mu w szczęściu jego dotąd przeszkadzało. Czy to było zbytnie rozmiłowanie się w materyalnych sprawach tego życia, czy też brak wyższego poloru światowego, czy też wszczepione przez ojca lekceważenie idealniejszych potrzeb ducha ludzkiego, trudno było osądzić. Fakt był faktem, że pan Krzysztof dotąd sam na swoją rękę gospodarstwo domu i życia prowadził, nie mając do tego żadnéj towarzyszki, któraby mu w tem mogła być pomocną.

Ponieważ dzisiejszy okazały majątek pana Krzysztofa powoli w koło jednego folwarczka się skupiał podczas gdy inne cząstkowe dworki upadały, nie było w nim żadnego okazałego pałacu tylko ten sam domek z drzewa, w którym ongi rodzili się i umie-

rali wszyscy antenaci dzisiejszego generalnego dziedzica.

Był to sobie domek wcale niepokaźny. Pomiędzy okazałemi, wzorowemi budynkami gospodarskiemi, wyglądał jak skąpiec, który śród bogatych dostatków sam sobie wszystkiego skąpi. Miał tylko cztery małe pokoiki z kuchenką pod jednym dachem. Wchód był przez ganek o czterech słupkach, którym wieskowy cieśla chciał nadać pewne kształty artystyczne łamiąc proste linie drzewa w sposób zygzakowaty. Małe okienka miały grube żelazem okute okienice z wyrzniętemi pośrodku sercami, przez które zaglądająca ranna jutrzenka zwykła była budzić do roboty śpiących mieszkańców. Z ciemnych dymników wychodziły na dach deski służące gołębiom za werendę.

W takim dworku urodził się i umarł ostatni gospodarz zdobywca, który pracą i oszczędnością wszystkie cząstkowe posiadłości do niego przyanektował, i w tym samym dworku mieszkał teraz pan Krzysztof.

Już sam widok tego majątku był wymowny i odrazu dawał mu cechę zrozumiałą. Właścicielowi chodziło przedewszystkiem o grosz, wygody osobiste były na drugim planie. Gorzelnia wyglądała jak pałacyk, a przy niéj bieliła się murowana stajnia wołowa. Również i szpichlerz był z cegły a nawet blachą pokryty. Odpowiednio tym głównym arteryom gospodarstwa były także i inne budynki porządne i okazałe.

Pan Krzysztof prowadził daléj system i program nieboszczyka swego ojca. Gospodarstwo podnosił, a nie zważał na to wcale, że dworek coraz więcéj w ziemię się zapadał. Być może, że ta zbytnia wierność, jaką dla tradycyi ojcowskich okazywał, przyczyniła się do niepowodzeń jego dotychczasowych na polu marzeń matrymonialnych. Prędzejby one może do skutku były przyszły, gdyby zamiast tych wszystkich okazałych budynków gospodarskich, był wystawił pałacyk w guście włoskim i ozdobił go parkiem angielskim. Ponieważ zaś tego nie zrobił, okrzyczały go wszystkie panny w powiecie, że żyć nie umie, chociaż ma majątek po temu.

Zdaje się, że w ostatnim czasie coś z tych głosów zasłyszał pan Krzysztof, bo postanowił poprawić się. Poprawa jednak jego zamiast należącego się mu uznania ściągnęła nań nowe pociski. Zadawano sobie w całem sąsiedztwie pytanie, dla kogo pan Krzysztof domek swój oporządza, jakie mo teraz zamiary matrymonialne i kogo sobie upatrzył. Robiono różne domniemywania, a jeśli takowe z interesem trzecich osób się nie zgadzały, rzucano gromy na biednego pana Krzysztofa, odmawiając mu już naprzód ręki imieniem téj lub owéj sąsiadki. Jeszcze więcej drażniło wszystkich milczenie pana Krzysztofa który zamknął się sam w sobie i nikomu z zamysłów swoich się nie zwierzał.

Tak niepewna sytuacya nie mogła utrzymać się w powiecie. Kontrolowano wszystkie pana Krzysztofa wycieczki po za obręb powiatu, ale z téj kontroli nie osiągnięto żadnego pożądanego skutku. Wiedziano wprawdzie, że przed żniwami był pan Krzysztof w odwiedzinach u różnych dawnych i nowych znajomych swoich, wiedziano że nawet w Tuliwodach trzy dni bawił z uszczerbkiem sprzętu siana, które się przez ten czas zgniło, ale z tego wszystkiego nie umiano wyprowadzić żadnego wniosku.

Faktem było że pan Krzysztof domek swój na seryo przerabiać zaczął. Mimo innych zajęć gospodarskich zwołał mnóstwo robotników i stary dwór kazał a półtora łokcia do góry dźwignąć. Potem dał mu dach nowy, gołębiom kazał się wyprowadzić do oficynki, a stary ganek zastąpił szeroką, misterną ciesielską robotą ozdobioną werendą. Okna wyrznięto także większe i wszystkie ściany obito koszami i narzucono tynkiem.

Dwór pana Krzysztofa wyglądał już teraz zdala dosyć przyzwoicie, chodziło tylko, aby i wewnątrz uposarzyć go jako tako. W tym celu pracował już od dwóch tygodni malarz pokojowy z powiatowego miasta, a kilka bryk nowych mebli nadeszło było ze Lwowa na parę dni przed przyjazdem Maryana.

A podczas gdy w całem sąsiedztwie łamano sobie głowy, w jakim to celu pan Krzysztof tak kosztowną przedsiębierze restauracyą, siedział po całych dniach z krótką fajeczką w ustach na przewróconéj beczce, która artyście powiatowemu służyła za rusztowanie do malowania sufitu w jednéj z najobszerniejszych izdebek dworu.

Dzisiaj właśnie, nieprzeczuwając nawet że tak upragniony gość do domu jego zdąża, siedział pan Krzysztof na téj saméj beczce przewróconéj, podczas gdy malarz zajęty był wymalowaniem na piecu olbrzymiego bukietu, dla którego gospodarz sam kwiaty dysponował.

— Ona lubi białe kamelie! pomyślał sobie w duszy i zaraz taki rozkaz dał artyście.

Sprzeciwiał się temu artysta jak mógł, utrzymując że biały kolor na freskach najgorzéj czy raczéj najtrudniéj się udaje, ale pan Krzysztof był nieubłagany. Jakoż biedny artysta rad nierad musiał malować białe kamelie na piecu a pan Krzysztof cieszył się nieposlicie widząc występujące na glinie liście i łodygi...

— Powiedz mi pan, rzekł w dobrym humorze pan Krzysztof do posłusznego artysty, powiedz mi pan, czy długo uczyłeś się tak smarować po murach?

Artysta powiatowy zmierzył pana Krzysztofa pogardliwem wejrzeniem.

— Najprzód muszę panu powiedzieć, odparł z dumą, że ja nie smaruję ale maluję. Smaruje tylko lakiernik i malarz!

— Jak to? A drzwi przy gorzelni nie posmarowałeś pan czerwoną lubryką, aż się woły boją?

— To co innego. Człowiek robi nieraz to co musi, a nie to czego chce.

— Więc pan robiłeś to mimowoli? Przecież dosyć słono zapłaciłem panu.

Malarz splunął na środek izby.

— Aby prawdę powiedzieć, odparł, wszystko co dzisiaj robię, robie mimo mojéj woli!

I westchnął biedny artysta. Żal się zrobiło tego westchnienia panu Krzysztofowi. Odezwał się łagodniéj:

— Cóż pana zmusza do tego?

Artysta westchnął po raz drugi.

— Co mnie zmusza?... ozwał się po westchnieniu, zawiedzione nadzieje!

— Zawiedzione nadzieje! powtórzył z przyciskiem pan Krzysztof, dla którego te słowa miały w téj chwili jakieś dziwne znaczenie.

— Tak panie! odpowiedział artysta krótko i wziął się napowrót do białych kamelii.

Nastąpiła pauza milczenia. Pan Krzysztof buchał chmurą dymu, który aż do pieca dochodził.

— Jakież mogły być pana nadzieje? zapytał po chwili.

Malarz rzucił kroplę rosy na liść kamelii i odsunął się od pieca, aby dziełu swemu zdala się przypatrzyć. Blask rosy wypadł świetnie z czego widocznie zadowolony był artysta.

— Czy sądzisz pan, rzekł do pana Krzysztofa, że wszystkie ludzkie nadzieje i marzenia spełniają się?..

— Dlaczego nie, odparł pan Krzysztof, byle je tylko dobrze obliczyć!

Artysta machnął ręką.

— Mój panie, zawołał z gorzczą, nadzieje i marzenia nie mają żadnych liczb! Gdy byłem młody i poczułem w sobie talent, zamarzyłem o Rzymie i sławie Europejskiéj! Zdawało mi się, że będę drugim Rafaelem albo Michałem Aniołem. W tych nadziejach, z tem marzeniem malowałem pierwsze nosy i nogi... z wiarą że będę sławnym, wielkim i bogatym, przepędziłem o chłodzie i głodzie młode moje lata... i na czem to się wszystko skończyło?... Ot lichym zarobkiem na kawałek chleba!

Zacny pan Krzysztof posmutniał.

— A dlaczegóż mój panie, rzekł po chwili, nie zacząłeś od tego, aby być pokojowym malarzem?

Artysta uśmiechnął się.

— Powiedz mi pan, odparł z goryczą, czy każdy człowiek zaczyna nadzieje i marzenia swoje tylko od tego, czem potem rzeczywiście się staje?... Czy nadzieje jego nie sięgały wyżéj od rzeczywistego stanu rzeczy?

— To jest nieszczęście!

— Ale nieszczęście ludzkie, przez które z małym wyjątkiem wszyscy przechodzimy! Każdy w swoim sposobie!

Pan Krzysztof zamyślił się. Żal mu było człowieka, który chciał być sławnym malarzem a skończył na malowaniu ścian i pieców!

— Przed pięcią laty, mówił daléj artysta, malowałem pałac, który pan Szelążek w dobrach swoich wystawił. W jakich nadziejach wybudował pan Szelążek pałac tak okazały, że zwykłe potrzeby rodziny przewyższał? Oto może w tym celu, aby w progi jego zagościł sąsiad hrabia, lub sąsiad książę, którzy do małego dworka wejść nie chcieli! Albo może też jeszcze daléj sięgały jego marzenia! Może marzył o zięciu z mitrą lub koroną hrabiowską?... Czy nadzieje jego i marzenia spełniły się, lub czy się spełnią?... Otóż zwykła historya naszych nadziei i marzeń z jakiego do dzieła naszego przystępujemy!...

Pan Krzysztof buchał dymem jak wulkan.

— No, odpowiedział po chwili, nadzieje nasze nie powinny być przesadzone, ale tak w samą miarę... w zwykłych przeciętnych cenach! Ja jeżeli woły na targ do Wiednia wiozę lub z próbką rzepaku do miasta jadę, to przecież nie mam nadziei, abym wziął ceny najwyższe. Kontentuję się średniemi!

— Tak, ale są rzeczy nie zapisane w rubryce kursów codziennych... a z takiemi rzeczami najgorzéj!

Pan Krzysztof buchnął chmurą dymu na malarza.

— Masz pan słuszność, zawołał; ale ja o takich rzeczach nie mówię teraz wcale. Maluj pan daléj białe kamelie!

Niedoszły geniusz przystąpił do pieca, a pan Krzysztof zlazł z beczki i szerokim krokiem zaczął się przechadzać po pokoju. W krótce jednak zabrakło mu w jednym pokoju przestrzeni, pootwierał drzwi do wszystkich i zaczął cały dwór obchodzić do koła.

Biedny artysta coś mu widocznie popsuł w głowie. Chciał w dawny szyk ułożyć myśli swoje, ale robota nie szła mu dobrze. Spluwał i krząkał, buchał dymem jak z komina, ale to wszystko nie pomogło. Coś mu ustawicznie przed oczami biegało, na co patrzyć nie chciał.

— Czego ten człowiek chciał ode mnie? pytał siebie od czasu do czasu, wolałby piec malować niżeli mówić do mnie takie rzeczy! Czy to ja znowu o czemś tak niepodobnem czasami sobie marzę? Cóż w tmo

jest niepodobnego?... Ależ on mówił ot tak na wiatr!

Mimo to nie mógł się jakoś zacny pan Krzystof uspokoić. Smutno mu coś było i markotno, a gdy wreszcie wieczór się zbliżył i żadnych choćby dla rozrywki tylko nie było zatrudnień, udał się biedny osamotniony człowiek do swego pokoiku, gdzie zamiast pociechy i przyjaźni serdecznéj czekały na niego, raporta i regestra.

Późna już noc była, a pan Krzysztof siedział jeszcze przed swoim stolikiem. Dwoma kułakami podparł głowę i głęboko się zamyślił. Nie zważał wcale jak jesienny wiatr przemawiał do niego przez szpary drzwi i okien, jak się skarżył, jak jęczał i płakał!... Myśli jego gdzieś wybiegły na świat szerszy, gdzie się daleko uniosły, gdzieś poza gorzelnie, po za stajnię wołową!...

Biedny samotnik czuł się nieszczęśliwym. Do nikogo nawet słowa nie mógł przemówić, nikomu zwierzyć się z swoich różnych smutków i nadziei!...

Wreszcie śród jednostajnego świstu wiatru usłyszał jakiś turkot oddalony. Ruszył uchem, bo ten turkot coś mu obiecywał...

Wstał i wyszedł na ganek. Turkot zbliżał się coraz więcéj a zbliżał się jakby do dworu...

— Ktożby to mógł być? pomyślał sobie pan Krzysztof i odkrząknął aż echo z pobliskiéj góry odpowiedziało, przecież kwaterunku nie ma a podatki zapłaciłem!...

Przy bladem świetle księżyca ukazała się bryczka... za chwilę mógł rozeznać konie i furmana i nim jeszcze podróżny przed ganek zajechał już krzyczał pan Krzysztof na całe gardło, aż w gorzelni szyby zabrzęczały:

— Jak Boga kocham! Maryan!... Oto mi przyjaciel!... Czy cię czart... chciałem powiedzieć anioł do mnie przyniósł? Zjawiasz się jak Habakak w jaskini Dawida! Jak Boga kocham! Anim się spodziewał!... A wiesz, że teraz wierzę, że dwa serca mogą chociaż w oddaleniu siebie rozumiéć, a wiesz, gdyby Pan Bóg stanął przedemną przed chwilą i rzekł mi: Proś czego chcesz a stanie się!... tobym się ani namyślał tylko krzyknął: Panie Boże! Daj mi Maryana!

Tak krzyczał i hukał olbrzym ściskając i całując przyjaciela, który napróżno do słowa przyjść usiłował. Pan Krzysztof bowiem albo sam mówił albo przyjaciela całował zakrywając mu szerokiemi swemi ustami całą twarz, od brody aż do czoła!

Wreszcie oswobodził się Maryan, a pan Krzysztof pobiegł gdzieś do stajni, aby parobków pobudzić.

Tymczasem zbudził się chłopak pokojowy i ze świecą wyszedł na ganek. Maryan obejrzał się w koło i dawnego dworka pana Krzysztofa prawie nie poznał. Była to istna jakaś transfiguracya. Z różnych przystawek, z okien i dymników regularnie w pół koła podniesionych, wyglądała jakaś wcale nowa, z dotychczasowym panem Krzysztofem nie licująca pretensya. Wszędzie można się było z nią spotkać. Zamiast dawnéj prostéj sieni bez podłogi, był teraz przedpokój, w którym jako zbytek niesłychany, wisiało zwierciadło. Wprawdzie tafla tego zwierciadła była krzywa i pogięta, wchodzący gość zamiast swojéj twarzy widział sto innych, cudzych, które się jego twarzy przedrzeźniały ale przedpokój miał zwierciadło, jak to w pańskich domach bywa.

Zdaje się, że owa pretensyonalność zacnego gospodarza także i służbie jego się udzieliła, bo idący naprzód ze świecą chłopak wybrał jak najdalszą drogę, aby Maryana do pokoiku pana Krzysztofa zaprowadzić.

Maryan szedł więc przez wszystkie prawie pokoje, jakiemi szczycił się dwór pana Krzysztofa. Szedł przez żółty i zielony, szary i błękitny. W szarym, który był największy, widział na piecu rozpoczęte malowidło, mające przedstawiać bukiet z białych jakichś kwiatów... kilka pokojów było już gotowych i umeblowanych. Maryan zadziwił się obaczywszy te sprzęty. Były dosyć okazałe, tylko w ugrupowaniu nie okazywały wielkiego gustu. W niektórych raziła pstrokacizna koloru i rzeźby, a tu i owdzie pokazywało się nawet wstydliwie, złoto papierkowe!

Maryan uśmiechnął się. Zacny pan Krzysztof miał jak widać najlepsze chęci, nie szczędził pieniędzy, ale... stworzył jakąś dziwną mozaikę z rzeczy drogich, pojedyńczo pięknych a razem przedstawiający prawdziwy chaos:

Patrząc na taką hojność skąpego w gruncie człowieka, przyszła Maryanowi pewna myśl do głowy. Myśl ta przychodziła mu już nieraz, a nawet w głębi serca rad był téj myśli, ale późniéj jakoś osobliwie po listach z Wenecyi myśl ta napawała go pewnym smutkiem.

Jakoż i teraz posmutniał, gdy to wszystko widział, bo zdawało mu się że pan Krzysztof w pewnym celu to wszystko restaurował i oporządzał, a od pragnienia do celu było jeszcze tak daleko!..

Wreszcie nadszedł gospodarz. Jeszcze raz uściskał i ucałował gościa, zapalił aż cztery świece i posadził go na najlepszym fotelu.

— Powiedz mi kochany Maryanie, rzekł do niego, czy przeczułeś że ja o tobie dzisiaj cały dzień myślałem, czy ci się w nocy przyśniłem. Czasam bywają sny tak dziwne...

— Nic dziwnego poczciwy Krzysztofie, odpowiedział Maryan, jesteśmy w spółce... a gdy w spółce jedna osoba myśli, to myśli te udzielają się drugiéj!

— Ho, ho, ho! zaśmiał się zacny gospodarz, dobrze powiedziałeś! Gdyby to takie myśli mogły daléj iść niżeli z Tuliwód do Częstodworów... tak naprzykład do Wenecyi!... ho, ho, ho! Toby było wybornie!

Maryan spojrzał na przyjaciela. Miałżeby wiedzieć o listach Elizy?... Ale wnet posmutniał!

— Co widzę u ciebie! rzekł po chwili, wszystko z gruntu przewróciłeś!

Uśmiechnął się do swoich myśli pan Krzysztof.

— Cóż robić, odparł z dyplomatyczną powagą, przecież od czasu do czasu trzeba coś zmienić inaczéj byłoby życie bardzo jednostajne! Stawiałem gorzelnie, stajnie, szopy, szpichlerze... a teraz przyszedł czas na domek! ho ho ho! Domek! Jak to ładnie brzmi: domek własny, spokojny! Nieprawda?

(*d. c. n.*)

NA WYSPIE.

NOWELLA

Fr. Spielhagena.

przekład z niemieckiego.

(Dalszy ciąg).

Z tą niezbyt pocieszającą nadzieją odbili od brzegu; oddalali się bardzo powoli gdyż dużą łódź z trudnością pędzono wiosłami, pomimo że Paweł i porucznik dopomagali. Hedda nie mogła usiedzieć z założonemi rękoma, i wraz z Pawłem wiosłowała na przodzie statku, pomimo że Klementyna, która teraz obok pana von Elze przy sterze siedziała, wołała na nią by dziecińnstwa tego nie czyniła i pomyślała o tem co się niedawno zdarzyło.

— A cóż to było sąsiadko? zapytał Paweł.

— Mdleję czasami, ale dzięki Bogu dotąd ocuciłam się za każdym razem.

Mimo zapewnienia młody człowiek usilnie ją prosił by wiosłować przestała. Nie bądź tak samowolną sąsiadko, i słuchaj zawsze rozsądnéj rady przyjaciela!

— Czy pan jesteś moim przyjacielem? spytała.

— Jakto, pani wątpisz o tem?

— Wierzę temu odrzekła łagodnie i dużemi swemi oczyma z serdecznością patrzyła na niego. Położyła wiosło i obok niego usiadła.

W krótce wiatr się zerwał i zaprzestano wiosłować; ściemniło się dziwnie prędko, ciągnące od wschodu chmury niebawem pokryły horyzont, a od czasu do czasu spadały duże krople deszczu. Wiatr z żałosnym świstem przelatywał po nad morzem i wszystko zapowiadało że sprawdzi się przepowiednia starego żeglarza.

Płynęli dość szybko, i była nadzieja że przed burzą jeszcze dostaną się na Nedur. Ogólna rozmowa ustała zwłaszcza Hedda, otulona szalem niezwykle była milczącą. Porucznik i Klementyna na dawném siedzieli miejscu przy sterze, a rozmawiali tak cicho że niektóre tylko pojedyńcze wyrazy dolatywały do uszu Pawła. Niebawem Hedda westchnęła głęboko, i głowa jéj opadła na jego ramię. Pochwycił jéj ręce; były zimne; zapytał coby jéj było? odpowiedzi nie dała. Cicho na Klementynę zawołał i ta wnet się zbliżyła.

— Co robić? zapytał z niepokojem.

— Nic, nie jest to właściwie omdlenie, ale sen głęboki, który napada ją niespodzianie za każdym razem gdy tak jak dzisiaj zanadto się zmęczy. Ciepléj ją okryjmy, i pozwólmy jéj spać spokojnie; ale może ci zbyt niewygodnie kuzynku?

— Dobrze, doskonale! wyszeptał.

Klementyna na dawne powróciła miejsce, i cichą rozmowę z porucznikiem daléj prowadziła. Paweł niezadowolniony był z postępowania kuzynki; wydawała mu się zimną i bez współczucia, niezastanowił się nad tem że ona od dawna napady te znała, wiedziała że nie były niebezpieczne, a więc i spokojniejszą była od niego, który w obawie swojéj przewidywał to co może być najgorszego. Jemu wydawało się, że Klementyna jedynie myślała o tem, żeby co najprędzéj miejsce swoje przy poruczniku zająć, a w obec téj oziębłości przyjaciołki, tembardziéj czuł się w obowiązku czuwać nad Heddą, jako jéj jedynie wierny przyjaciel. Ciepłym szalem otulił ją mocniéj, a podtrzymując lewém ramieniem, starał się by piękna jéj głowa spoczywała jak najdogodniéj na jego piersiach. Jakkolwiek błogie mu było położenie w jakiem się obecnie znajdował, ani na chwilę nie pomyślał o tem że śliczne, młode dziewcze usnęło w jego ramionach; duszę jego przepełniało uczucie czystéj rozkoszy, jakiego doznajemy gdy jesteśmy podporą i opieką jakiéj opuszczonéj istoty.

— Jak wielką i piękną być musi, miłość macierzyńska; pomyślał w duszy i to prawdziwa Venus Urania, w obec któréj każda inna miłość jest tem czem miód w porównaniu z nektarem. Każda inna miłość pragnie nagrody ta jedna nie chce nic, jak tylko żyć, kochać, ochraniać, pielęgnować, i przez życie całe poświęcać się dla ukochanéj istoty! I przypomniał sobie wyrok Ateńczyków, skazujący na śmierć chłopczyka za to że zabił ptaszka, który przez sokoła ścigany na piersiach jego szukał schronienia, i w téj chwili uczuł że mieli słuszność Ateńczycy. A ów Xerkses, myślał daléj, który nazna-

czał nagrody za wynalezienie nowéj rozkoszy, czy znał on tę, jakiéj się doznaje, czuwając nad snem wybranéj istoty?

Podczas gdy urocze dziewczę spoczywało na jego sercu, zwrócił uwagę swoją na drugą parę. W téj chwili oboje milczeli, zdawało się Pawłowi jakoby biała dłoń Klementyny spoczywała w ręku porucznika, i on twarz swoją tak blisko ku jéj twarzy pochylił, jak gdyby pomimo otaczającego zmroku chciał czytać w jéj oczach. Paweł sądził że się omylił, a może i naprawdę się mylił, bo wpatrzywszy się lepiéj zniknęło widziadło. Klementyna miała ręce ukryte pod szalem, a pan von Elze powstał i o pogodzie rozmawiał ze starym sternikiem. W téjże chwili silniejszy wiatr powiał, łódź przechyliła się na bok i lekko pomknęła po falach, które teraz podnosiły się i skakały prute ostrym tramem statku. Hedda podniosła się szybko i z zadziwieniem spojrzała na Pawła:

— Czy to ty sąsiedzie? rzekła.

— To ja sąsiadko.

— Długo spałam?

— Niecałe pół godziny!

— I pan tyle byłeś dobry dla mnie!

— Czyż nie jestem przyjacielem pani?

Za całą odpowiedź podała mu swoją małą delikatną rączkę, w któréj teraz całą pełnią ciepłe tętniło życie.

Jaskrawa błyskawica rozjaśniła na chwilę widnokrąg, a podróżni ujrzeli tuż przed sobą Nedur i niezadługo przód łodzi uderzył o piaszczyste wybrzeże. Przybyli w samą porę, gdyż zaledwo weszli do domu, od dawna grożąca burza z całą wybuchnęła gwałtownością i deszcz strumieniem lać zaczął. Porucznikowi ofiarowano nocleg ale go nie przyjął, a gdy go Paweł odprowadzał do bramy: Jesteś pan dzieckiem szczęścia, rzekł do niego. Co pan przez to rozumie? zapytał Paweł. Dobrej nocy życzę panu, było całą jego odpowiedzią; lepiéj się płaszczem owinął i zniknął w cieniach burzliwéj nocy.

Rozdział VIII.

Paweł St. do Franciszka S. w Berlinie.

Wierzaj mi drogi Franciszku, życie jest prawdziwą komedyą, pełną nieporozumień. Wysilam rozum i zmysły chcąc tę zagadkę rozwiązać. Gdzie kończy się prawda a gdzie się kłamstwo zaczyna, w czem leży prawość, a na czem podłość polega? Jak blask prawdziwy od fałszywego daje się rozróżnić? Niestety! nawet rodzice sami własną krew swoją, własne serce z trudnością rozpoznać mogą, gdy bliźnięta tak w postawie, chodzie, ruchach, ubraniu i mowie w niczem nie różnią się od siebie! Nic jednak mi nie pomoże, wybierać musimy, podczas gdy tak szybko zmieniają się postacie ze scen tworzą się akta, a z aktów powstaje dramat naszego życia; mowa nasza składaćby się powinna z *tak* lub *nie*! a jakże często się zdarza, że w téjże saméj chwili rozum nasz mówi *nie*, gdy serce mówi *tak*!

O moja prorocza duszo! wołasz z Hamletem. Zapewne, położenie moje dzisiejszego chmurnego ranka, nie jest tak nieprzyjemne jak niem było położenie biednego duńskiego księcia owéj fatalnéj nocy; dla mnie jest ono jednak niejasne, a dla kogoś co lubi światło gwiazd i słońca ciemność jest nader nieprzyjemną rzeczą. Jestem niezadowolniony z siebie, zły na Klementynę; porucznika radbym do fortecy, a Gustawa do domu obłąkanych wysłać, i niewiele brakuje by się gniew mój rozciągnął nawet na niewinną moją sąsiadeczkę. Dla czegoż Klementyna tak miła tak ujmująca, powiadać będzie każdy gdy go weźmie ochota odegrać rolę niecpoma czy uwodziciela. Tak myśleć musi pan von Elze i może uniewinnia się nudą, pociągiem do rycerskich czynów, jak gdyby wolny czas na wyspie nie lepiéj, nie szlachetniéj mógł zużytkować, niż tracąc go na usiłowaniach zdobycia serca, pięknéj, młodéj żony innego. I ona miałaby być winną, ona z tem białem czystem czołem, o tych wielkich, mądrych błękitnych oczach? Wybacz mi Klementyno! bo czyż godzi się sądzić z rzuconego wśród rozmowy, słówka, spojrzenia, ruchu, słowem z niczego? Jakże radbym skazać Gustawa na wożenie piasku w taczkach, do jego promów, tak długo, dopóki nie pozna się na nieocenionym skarbie jaki w swéj żonie posiada i nieprzekona się jak źle nad tym skarbem czuwa.

Ale tak to żenią się nasi panowie, a potem Panu Bogu polecają wszystko, sądząc że dokonywają cudu, gdy się starają o chleb dla rodziny, i gdy dla żony, dzieci lub służby, nie są tyranami! A jeżeli znajdzie się jaki Agamemnon, ufny w potęgę słodkich słówek i rycerskich usług, i uprowadzi im piękną Brizais z namiotu, wtedy gniew tłumiąc w kąt się chowają, lub poruszają cały Olimp, ziemię, samo nawet piekło, gdy przy większym nieco rozsądku i rozwadze, uniknęliby tego śmiesznego położenia. O głupi ludzie! Co do mnie, posłuszny jestem na głos mądrości! Sprawy sercowe nie nowością dla mnie; uśmiecham się ironicznie gdy widzę komedyą jaką ludzie tak zręcznie słowem i uczuciem prowadzą; wiem nadto dobrze, jak często przyjaźń, którą się z tą lub ową ładną dziewczyną zawiera, jest tylko pokrywką cieplejszego uczucia; jakże często śmiałem się i drwiłem, gdy niejeden z naszych znajomych wypłynąwszy zaledwo na morze życia i wypadki losu, w krótce zwijał żagle i przedwcześnie na wypoczynek udawał się do przystani małżeństwa. Nie! Franciszku, z mojéj strony nie uczynię ludziom podobnego widowiska! Powiedz mój drogi czy w kodeksie moralności nie jest wzbroniona każda gra, w któréj zarówno obawiamy się wygrać jak i przegrać? A jeżeli wydaje mi się, że sam za siebie ręczyć mogę, jeżeli sobie mówię że w najgorszym razie pocieszę się niezrównanem zdaniem Spinozy: *co cię obchodzi że ciebie kocham*? i zagłuszę boleść nieodwzajemnionéj miłości, kto mnie jednak zapewni że moja miła sąsiadeczka, ten sam filozoficzny kurs przeszła? Zdaje się że nie będzie zbytnią próżnością jeżeli powiem, że uważam się zdolnym wzbudzić uczucie prawdziwe, w sercu żywéj, inteligentnéj dziewczyny, a w obec ciebie byłoby śmiesznością zataić wyznanie, iż czuję że takim jakim jestem, posiadam niektóre przymioty przedstawiające mnie korzystnie w oczach tak duchowo rozbudzonego umysłu, jakim jest właśnie umysł Heddy. Jestem jednak za stary, lub nie dosyć naiwny, by niepotrzebnie narażać się na przykrość stosunku, którego jak się szczerze ludowa pieśń wyraża, jedynym punktem wyjścia jest: „*Gdy się rozłącza dwoje kochanków, nawzajem sobie podają dłoń.*“ Czuję, że gdyby tego było potrzeba, umrzeć bym gotów dla szczęścia Heddy, ale żenić się, żyć dla niéj i tylko dla niéj, ja, który zaledwo szkolne opuściłem ławki? ja, którego Bóg wie jak długie lata wędrówki czekają?... O małżeństwie myślę podobnie jak Hamlet: *kto raz się ożeni, niech czyni wszystko by na obranéj drodze wytrwać, i tak przed ludźmi jak i Bogiem nie mieć sobie nic do wyrzucenia* a ten co się chce żenić *niech się dobrze namyśli nad tem co czynić zamierza*. A czyż to koniecznie zaraz żenić się trzeba?

Nie byłożby to prawdziwą śmiesznością, by młody człowiek spędziwszy cztery tygodnie na wsi u przyjaciela, powracał z przekonaniem że musi umrzeć lub się ożenić z jego siostrą, kuzynką, czy inną młodą dziewczyną dla któréj parę razy na przechadzce lub w altanie czułym się pokazał? Wiem że odpowiesz mi na to: „Mój drogi Pawle, w przykrem położeniu w jakiem się obecnie z własnéj twojéj winy znajdujesz, jedyny sposób pokazania rozsądku i odwagi: pod jakimkolwiek pozorem wyjechać, lub ratować się otwartą ucieczką.“ Wiem dobrze o tem, i pod ścisłą rozwagę wziąłem pospieszny i niespodziewany ztąd wyjazd, ale to niemożliwe, na prawdę niemożliwe mój drogi! Pomijam to nawet, że jeżeli komendant nie przywiezie mi dzisiaj listu z miasta, nie miałbym czem wyjazdu upozorować, ale przeczucie mi mówi że wkrótce mogę tu być bardzo potrzebnym. Gorączkowe naprężanie moich nerwów szepcze mi ciągle: czuć burzę w powietrzu; kto wie? może ukochanych zdołam uchronić od strasznéj katastrofy? Ach mój przyjacielu! bądźmy pokorni i módlmy się: nie wódź nas na pokuszenie! a nie będziemy zmuszeni wydawać okrzyku trwogi: o Panie, wybaw nas od złego!

Rozdział IX.

Prawie o téj saméj porze o któréj wczoraj ucztowano na mogiłach Hunnów, dzisiaj całe grono zebrało się w sali ogrodowéj oczekując Gustawa, który przybyć obiecał, i komendanta, który miał z miasta powrócić. Po nocnéj burzy deszcz padał dzień cały, i przestał teraz dopiero, to też korzystając z pogodniejszéj chwili otworzono drzwi do ogrodu, każdy przysunął do nich swoje krzesełko i oddychając świeżem powietrzem spoglądano na wybrzeże, którego piasek w głębokie bruzdy poorany, o nawalnym świadczył deszczu, i na morze bezbarwne spoczywające nieruchomo pod chmurami obciążonemi niebem. Wśród ciężkiego mglistego powietra, para mew wesoło bujała, a białe ich skrzydła dziwnie odbijały, od ciemnego tła nieba i morza.

Hedda siedziała przy fortepianie, i w akordach na wpół brzmiących fantazyowała na temat: *Ich weiss nicht, was soll es bedenten*, (Nie pojmuję co to znaczy) ale natychmiast wstała i zbliżyła się do drugich którzy w milczeniu słuchali. Była bladą, na delikatnych jéj rysach leżał wyraz głębokiéj powagi a nawet melancholii, który zaniepokoił Pawła gdyż wczoraj jeszcze oblicze jéj jaśniało radością i swobodą.

— Sąsiedzie, czy będąc nad Renem, nie zdarzyło ci się kiedy ujrzeć rusałkę siedzącą o zachodzie słońca na szczycie góry? spytała zapatrzona w przestrzeń.

— Czy to nad Renem czy gdzieindziéj z rusałką spotyka się każdy, chociażby raz jeden w życiu uśmiechając się odrzekł Paweł.

— A kto właściwie nieszczęścia przyczyną, rusałka, czy rybak?

Prawdopodobnie rybak. Śpiewać i czesać złote włosy jest dla rusałki taką koniecznością, jak koniecznem jest dla rybaka by na ster uważał i łódź zdaleka trzymał od brzegu. Gdyby każdy swego pilnował, nikomu nie byłoby krzywdy.

— Czy ta figlarka bez serca, naprawdę jest tak piękna i miła?

— Oświetlenie i odległość, dodaje dużo poetycznego uroku.

— Co to szkodzi, zawołał pan von Elze, że przedmiot miłości jest niedoskonałym, jeżeli tylko doskonałą jest miłość; miłość, któréj pochłaniającą potęgę Heine tak niezrównanie w jednéj pieśni wyśpiewał i którą w innem miejscu tak trafnie w krótkich skreślił wyrazach:

Märchenhaft vorüberzogen
Berg und Burgen, Wald und Au;

Und das Alles sah ich glänzen,
In dem Aug'der schönen Frau *)

Bystre spojrzenie Pawła pobiegło od porucznika ku Klementynie a od Klementyny do porucznika; widział jak ta oczy spuściła, a wzrok jego ze szczególnym wyrazem spoczął na zarumienionéj twarzy młodéj kobiety.

— To prawda! zawołał Paweł, niech tylko piękna, wybrana kobieta powieki spuści a cały ten cudny świat znika jak fatamorgana na pustyni! Lecz świat jest tak wielki, tak piękny i tak bogaty, że w jednéj istocie wyczerpać się nie może: miłość taka jest marzeniem pełnem złudzeń, czego dowodem jest, że gdy kochający upatruje bóstwo w ukochanéj każdy inny widzi w niéj prostą śmiertelniczkę tylko.

— Prawda! odrzekł porucznik, że jednak każdy własnym rozumem sądzi, własnem sercem czuje i własnemi oczyma patrzy, a więc taka miłość wystarcza. Co nam to szkodzi że ukochana kobieta ma dla innych połowę téj wartości jaką ma dla nas?

— Zapewne tak by być powinno, rzekł żywo Paweł, ale wcześniéj czy późniéj cudowny urok znika a rozczarowanie tem przykrzejsze o ile oczarowanie doskonalszem było; wtedy uważamy się za oszukanych i co prawda jesteśmy oszukanymi, tylko tak jak Lessing mówi: *oszustami oszukanymi!*

— Z tego wynika że my sami sobie jesteśmy winni, jeżeli się nie spełnią sny naszéj młodości, odezwała się Klementyna.

— Naturalnie, któżby inny? odparł Paweł.

— W takim razie, ciągnęła daléj Klementyna, pragnęłabym by istniało prawo zakazujące iść zamąż dziewczętom przed dwódziestym piątym rokiem życia.

— Szkodzićby to nie mogło, odpowiedział Paweł, ale niedawno sama mówiła śdroga Klementyno, że młoda kobieta ma o dziesięć lat więcéj doświadczenia niż mężczyzna w tymże samym co ona wieku. Jeżeli więc małżeństwo jest szkołą, w któréj tak szybko robią się postępy, byłoby do życzenia aby jak najwcześniéj zapisywano się do niéj.

— A jednak nader często uważałem, odezwał się pan von Elze, że krótki nawet pobyt w téjże szkole wystarcza, by rozumny w nudnego się zamienił, w ociężałego dowcipny, w milczącego rozmowny, a w gwałtownego łagodny; takie to korzyści odnoszą jedynie uczniowie tego zakładu.

— I uczennice niemniejsze.

— Szczególniéj po wysłuchaniu teoryi pańskiéj o piernikach i kobietach, dodała z uśmiechem Hedda.

— Po niéj szczególniéj, przywtórzył Paweł, ale przyznając słuszność uwadze pańskiéj panie von Elze, spodziewam się że z niéj nie zechcesz pan wyprowadzić wniosku przeciwko małżeństwu. Zapewne że czarodziejskie są zamki na lodzie jakie sobie zakochani budują, ale te jedną mają wadę że w nich zamieszkać nie można; małżeństwo jest skromnym niepozornym domkiem, zbudowanym z trwałéj cegły, w skutek czego niemałą posiada zaletę chronienia mieszkańców od wiatru i deszczu.

— Pan który jesteś poetą, jak możesz stawać w obronie najprozaiczniejszéj prozy? zawołał pan von Elze.

— Ja walczę tylko z fałszywym idealizmem, nie zaś z prawdziwym.

— A czem się jeden od drugiego różni?

— Fałszywy idealizm, skłania nas do nieoceniania i lekceważenia prawdy, gdy przeciwnie idealizm rzeczywisty, uczy nas poznawać ją głębiéj i za coraz wyższą i świętszą uznawać.

— Doprawdy, nie pojmuję, zawołał pan von Elze co miłość może mieć wspólnego z małżeństwem! Że nic z niem wspólnego nie ma, niestety! codziennie przekonywać się możemy; ale sądziłem że to tylko nieszczęście i wyjątek nic niewpływający na ogólne prawidło. Podług teoryi pana można to nazwać więcéj niż szczęściem, jeżeli ukochana naszéj młodości, nie jest żoną naszych lat dojrzałych, w takim razie o wiele byłoby lepiéj zupełnie zaniechać wyboru przyszłéj towarzyszki życia a wszystko zostawić losowi.

— Byłoby to toż samo co iść w przepaść na oślep zawołał Paweł, postępowanie takie równa się postępowaniu owéj dziewczyny Heinego, która ze złości że jéj kochanek ożenił się z inną, idzie za pierwszego lepszego którego spotyka. Pomimo że nie wierzę w doskonałą charmonią dusz, o jakiéj śnią zakochani, chętnie jednak przyznaję, że pewne powinowactwo skłonności, zapatrywań się, interesów, jest koniecznym warunkiem szczęśliwego małżeństwa, w skutek czego zakres wyboru każdéj jednostki w osobne ujęty jest koło, chociaż i tu przypadek często rządzi swojem prawem.

Pan X i panna Y poznali się na balu u prezydenta, dlatego, jak sami twierdzą, by już się nigdy nie zapomnieć, i w ich mniemaniu, nie zacny urzędnik ale los tę uroczystość ułożył jedynie w tym celu, by się te dwie piękne dusze spotkać mogły. Że tak twierdzą ci młodzi ludzie jak najzupełniéj znajdują to naturalnem, i z mojéj strony, jak widz obojętny, z tych dwojga w cuda wierzących, pozwalam sobie pośmiać się i zapewniam śmiało, że gdyby pan X dostał był kataru w dzień owego balu, a w tydzień potem panna Y. w skutek migreny nie była na wieczorze na którym pan X spotkał pannę Z. toż samo czułe zdarzenie byłoby miało miejsce, z lekką odmianą osób.

Te ostatnie wyrazy, wymówione żartobliwym, wesołym tonem, nawet na twarz Klementyny uśmiech wywołały, a Hedda serdecznie śmiać się zaczęła.

Obie panie wycofały się z rozmowy, jak gdyby chciały rozstrzygnięcie sporu jedynie dwom zapaśnikom zostawić, śledziły ją jednak z natężoną uwagą, i widocznem było że Hedda brała stronę swojego sąsiada, a Klementyna porucznika, pomimo że słowa swoje zwracał Paweł więcéj do kuzynki, a pan von Elze tylko do Heddy mówić się zdawał.

— To też nie dziwię się więcéj, zawołał pan von Elze, że nie są trwałemi stosunki zbudowane na tak chwiejnéj podstawie. Za nieodzowny warunek miłości uważam zupełną harmonią, czyli raczéj jak najwyższą harmonią dusz, a miłość jako konieczną podstawę małżeństwa. Jestem zdania że niegodnem, niemoralnem będzie każde małżeństwo nieoparte na miłości, a przyznać muszę, że związek ten, tak jak pan się nań zapatrujesz, nie ma moralnéj podstawy, lecz co najwyżéj wywołanym bywa przez zewnętrzne stosunki, i co do mnie, przyznaję nie czuję się skłonnym do szanowania podobnéj instytucyi.

— I ja również, rzekł Paweł, nie mógłbym jéj cenić, gdyby rzeczywiście tak mało była świętą, jak to pan przypuszczasz, jednakże tak nie jest. Chociaż przypadek wprawia w ruch różne przyczyny, nie zapominaj pan że położyłem pewną zgodność jako *conditio sine qua non*, a rezultat raz rozwiązanych przyczyn jest konieczny, i bądź co bądź, stojący na zewnątrz będą musieli szanować fakt dokonanego raz zawartego związku. Chwila rezygnacyi o któréj wczoraj żartem nadmieniłem, zastosowaną, będzie do interesowanych osób. Mąż wybierając żonę zrzeka się praw do innych kobiet, żona przez wybór męża traci prawo do reszty mężczyzn. A ponieważ nieskończoną ilość kombinacyi przypuścić można, utrzymać się powinna ta, która raz już w ruch weszła; i tutaj jak i wszędzie zastosować można zdanie poety: *Gdzie jedno zabiera miejsce, drugie ustępować musi.* Jeżeli najwyższa harmonia dusz powinna uświęcać związek, gdzie będzie granica, gdzie rękojmia prawdy, gdzie schronienie przeciw pomyłkom którym wszyscy podlegamy? Nie byłoby końca w poszukiwaniu *sprawiedliwego i sprawiedliwéj*; i zamiast żeby owa harmonia dusz trwałość stosunku ustalić miała, działałaby wręcz przeciwnie. Dla tkliwych usposobień byłaby ona powodem dążenia po fałszywéj drodze za ideałem, którego nigdy dosięgnąć nie można; a dla złych byłaby pozorem, zręcznie kryjącym ich bezczelną samowolność i niecne zamiary.

— Dla bezwzględności, niedelikatności i braku taktu we wzajemnem obcowaniu małżonków, jest to najgenialniejsze usprawiedliwienie jakie kiedykolwiek usłyszałem! zawołał pan von Elze. Że tym sposobem zawarty stosunek zagadkowéj jest wartości, to pewnik matematyczny, i pierwszy powód, dla którego istnieć nie powinien, a drugi powód, że gdy ów stosunek raz zajmie miejsce, wszystkie inne niemożliwemi lub niemoralnemi czyni.

— Przeciwnie! odpowiedział Paweł, ja sądziłbym że kto w każdym, równym mu stanowiskiem, wykształceniem, równego rodzaju zaletami towarzyszu, widzi rywala, a jego zmysł sprawiedliwości mówi mu, że ów rywal mógłby go najzupełniéj zastąpić, taki człowiek użyje wszystkiego by się okazać godnym pierwszeństwa. Czyż król z łaski ludu ma mniejszy powód być dobrym władzcą, jak król z łaski Bożéj? Do tego znajdujesz pan że ta bezwzględność panuje wszędzie gdzie się poruszają ludzie w zakreślonych przez naturę, lub strzeżonych przez zwyczaj stosunkach. Jakże często szorstkimi są bracia dla sióstr swoich, dzieci dla rodziców, przełożeni dla podwładnych i odwrotnie! Ale zapędzam się tak daleko, że gotów jestem i tę szorstkość usprawiedliwiać.

— Rzeczywiście byłoby to nader ciekawe! zawołał pan von Elze z ironią. Ale dzisiaj już tyle dziwacznych rzeczy nazwałeś pan dobremi, że nie zadziwiłbym się gdybyś pan twierdził, że charakter pełen względności właśnie na niewzględności tylko opierać się powinien!

— To pewna, rzekł Paweł żywo, że bynajmniéj nie polega na czczych formach któremi wielu ludzi treść rzeczy zastępuje. O kim przekonany jestem że dnia dobrego szczerze mi życzy, od tego wymagam przynajmniéj by mi dnia tego nie zepsuł. Fischart w dziełku swoim „o karności małżeńskiéj mówi, że małżonkowie nie powinni sobie żadnych upominków dawać, gdyż wszystko powinno im być wspólne, a zewnętrzne oznaki są zbyteczne w takim stosunku. Jest to także jedna z tych *bezwzględności*, któréj wzniosłość dowodzi głębokości uczucia do jakiego jest zdolną. Wszak mi pan przyzna, że gdy kochanek u stóp kochanki nader jest pięknym obrazkiem, to małżonek na kolanach przed żoną śmieszne przedstawia widowisko! Wyrażenie *kocham się*, brzmi bardzo zabawnie, ale *ja cię kocham*, jest pełne powagi, uroczystości i kościelne *Amen* na myśl przywodzi.

— Naprawdę doktorze! byłby z pana znakomity kaznodzieja! zawołał pan von Elze.

---

*) Jak w bajce przeciągały
Góry i miasta, lasy i łąki,
A wszystko to widziałem błyszczące
W oczach pięknéj kobiety.

— Sądzę że nie za czczy komplement mogę to uważać, odpowiedział Paweł z uśmiechem.

— Nie inaczéj! odparł tenże z grzecznością.

(d. c. n.)

Korespondencya Zagraniczna.

(Dokończenie).

ze Lwowa.

Uczonemu Krakowowi świeżo dał się we znaki p. Klemens Kantecki, o którego ostatnich, bardzo cennych prcaach literackich pisałem w ostatnim liście. W ubiegłym roku wyszły w Krakowie nakładem akademii umiejętności a pod redakcyą dr. Augusta Sokołowskiego, Listy księcia Jerzego Zbaraskiego kasztelana Krakowskiego z lat 1621—1631. P. Klemens Kantecki napisał w Przewodniku naukowym recenzyą o tem dziele, w którem znalazł wiele błędów, i przytaczając niektóre z nich skończył oświadczeniem, iż potrzebne jest nowe wydanie listów. Dr. Sokołowski odpowiedział na tę recenzyą osobną broszurą, któréj ton lekceważący zniewolił recenzenta lwowskiego do odpowiedzi także w osobnéj broszurze. P. Kantecki nie ograniczył się do ogólnikowéj odprawy lecz na kilkunastu stronach druku przytoczył taką ilość błędów rażących ze wspomnionego dzieła, że teraz już zapewne nie otrzyma żadnéj odpowiedzi. Sprawa cała rozwinęła się tak niepomyślnie dla p. Sokołowskiego, że teraz już tylko usprawiedliwiać się może ale zarzutów lwowskiéj krytyki naukowo nie odeprze. P. Kantecki wyszedł zwycięzko z téj walki i przy końcu swéj broszury powtarza, że Krakowska edycya listów ks. Zbaraskiego powinna być wycofana, „jeśli nie ma wywołać najsmutniejszéj sensacyi w kraju i za granicą. To niepraktykowane dotąd nadużycie zaufania akademii umiejętności, skłoni zapewne tę najwyższą naszą instytucyą naukową do zachowywania większéj ostrożności w przyjmowaniu przedłożonych jéj wydawnictw.“ Klęska jaką poniósł dr. S., skłoni także wydawców do większéj ścisłości w pracach tego rodzaju i z tego powodu spór dr. S. z p. K. wyjdzie na korzyść literatury.

W pierwszym kwartale b. r. znakomicie postąpiły naprzód sprawy pierwszorzędnéj wagi dla ekonomicznych stosunków kraju. Kilka zebrań, złożonych z najpoważniejszych i najwięcéj wpływowych osobistości, zgromadzało się w tym celu we Lwowie a każda wywiązała się sumiennie ze swojego zadania. Namiestnik zwołał zebranie dla sprawy podniesienia handlu zbożowego, téj piekącéj sprawy ekonomicznéj, która rozstrzyga o wydatności najważniejszéj w kraju naszym gałęzi produkcyi. Nasz handel zbożowy upada już od dłuższego czasu, producenci czują to dotkliwie i narzekają słusznie, ale nikt dotąd na seryo nie podniósł téj sprawy w sposób wiodący do wskazania skutecznych środków zaradczych. Narada umyślnie dla téj sprawy zwołana doda otuchy naszym właścicielom ziemskim, bo zastanowiła się nad rzeczą z najtrafniejszego stanowiska a ponieważ poparcie rządu jest zapewnione, uchwały więc jéj mają praktyczne znaczenie. Wydział krajowy zwołał kilka zebrań, dla spraw górniczych, które wzięte od roku pod troskliwą opiekę sejmu, wydadzą mianowicie na polu przemysłu naftowego piękne owoce; daléj dla spraw przemysłu drobnego ludności wiejskiej, który dzięki coraz liczniéj powstającym szkółkom i dzięki szczodréj pomocy funduszów publicznych, stopniowo się rozwija i udoskonala: wreszcie dla spraw kredytowych mianowicie dla kwestyi, jak ratować należy ludność, doprowadzoną przez lichwę nad samą przepaść ruiny ekonomicznéj. Zanosi się na powstanie wielkiego, krajowego banku hipotecznego dla posiadłości włościańskich i małomiejskich. Podobne zakłady istnieją już w sąsiednich krajach i okazały się bardzo zbawiennemi, chociaż tam stosunki kredytowe nie wymagały pomocy publicznéj w takim stopniu jak w Galicyi. Po wydaniu ustawy karnéj przeciw lichwie założenie takiéj instytucyi jest poniekąd naturalnym wypadkiem. Faktem jest bowiem, że dziś mnóstwo lichwiarzy nie zadawalniając się nizkim procentem wycofało swoje kapitały z interesów pożyczkowych. Ludność wiejska i małomiejska uczuła tę stagnacyą bardzo dotkliwie zwłaszcza w okresie przejściowym, gdy lichwiarze spłoszeni nową ustawą karną nie chcą przedłużać terminów, byle jak najprędzéj wycofać się z niebezpiecznéj drogi.

O skuteczności téj ustawy i drugiéj pokrewnéj przeciw pijaństwu, ogłoszone zostały niedawno daty urzędowe, z których pokazuje się, że zbawiennie wpłynęły na stosunki krajowe pod każdym względem. Włościanin nasz gubił się przy kieliszku materyalnie i moralnie a szynkarz dawał wódkę na kredyt za bajecznym procentem i wywłaszczał potem pijaka z ojcowizny. Największa część zbrodni i przestępstw po wsiach łączy się zawsze z opilstwem. Odkąd ustawa nowa zabroniła ściągać sądownie należytości za trunki na kredyt dawane, szynkarz daje wódkę tylko za gotowe pieniądze a ponieważ gotówka jest rzadkim gościem w chacie włościańskiéj, więc ztąd rozwija się przymusowa wstrzemięźliwość, przykra z początku dla tego, kto z nią wziął rozbrat na długo, ale opłacająca się tak sowicie, że jéj pewnie nikt nie pożałuje. Wstrzemięźliwość zmniejsza ciągle liczbę przestępstw a nadto pobudza do pracy i oszczędności. A więc do dwóch cnót, stanowiących źródło olbrzymich kapitałów w każdem społeczeństwie.

Kiedy Galicya kołatała w Wiedniu o specyalną ustawę karną przeciw lichwie i pijaństwu, nazywano ją krajem zacofanym a ograniczenie stopy procentowéj poczytywano za herezyą przeciw nowoczesnym zasadom ekonomicznym i za szykanę ludności, głównie trudniącéj się interesami pożyczkowemi. Dziś już i inne prowincye żądają, aby do nich także zastosowano naszą ustawę przeciw lichwie a Wiedeń, którego organa tak stanowczo niegdyś nas łajały i broniły swobody w pobieraniu odsetków, wydala od niejakiego czasu policyjnie wszystkich lichwiarzy, którzy tam z Galicyi przybyli. Kilka wypadków samobójstwa, wywołanych przez bezwzględność i drapieżność lichwiarzy, wywołało w Wiedniu ten zwrot stanowczy. Wydaleni z Wiednia lichwiarze galicyjscy wracają do nas napowrót, ale niechętnie i zapewne nie z zamiarem zawiązania dawnych stosunków pożyczkowych, bo w drodze stanęła im ustawa wystarczająca tym, którzy nie chcą się dać wyzyskiwać i na oślep w przepaść nie pędzą.

B. Ł.

Kronika Paryzka.

(Dalszy ciąg).

Znakomite dzieło panów Mac-Lennan, Tylor, Lubock, rzuciły wiele światła na jeden z objawów religijnych nazywany *totemizmem*. *Totem* bierze swój początek w Ameryce, oznaczając jakiś przedmiot, zazwyczaj zwierzę, uważane za bóstwo przez plemiona pojedyncze stanowiące odrębne jednostki. Fetyszyzm zatem różni się wielce od totemizmu; ubóstwia on tylko jeden przedmiot pojedynczy, gdy tymczasem drugi, cały szereg przedmiotów jednego rodzaju stawia na téj wysokości. Murzyn biorący jako fetysz kłos kukurydzy oddaje mu cześć odpowiednią ale tylko jemu samemu, patrząc obojętnie na wzrastające niwy téj rośliny. Czerwone skóry amerykańskie, przeciwnie skoro obiorą wilka za bożyszcze, to objawiają poszanowanie dla wszystkich wilków bez wyjątku, nie ośmielając się nigdy wyrządzić im najmniejszéj krzywdy. Nadto *totem* nadaje miano całemu plemieniu; niewątpliwie przeto totemizm jest wyższym stopniem uogólniania, wymagającym odpowiedniego rozwoju umysłowego.

Jaki był początek totemizmu? Wedle pana Spencer początkowo ludzie oznaczani byli mianem zwierząt lub innych przedmiotów przypominających ich przymioty fizyczne i moralne. Skłonność do nadawania przydomków można napotkać u dzieci i niższych warstw społecznych, musiały więc znajdować szerokie zastosowanie w społeczeństwie pierwotnem. Nieokrzesanego grubianina nazywano niedźwiedziem; przebiegłego i chytrego, starym lisem; ostrożnego, podstępnego i milczącego, wężem. Przydomki mogą być brane od drzew i roślin: mający naprzykład włosy czerwone nazwany jest marchwią; człowiek wielkiéj siły, niepodobny do pokonania, otrzymuje miano dębu. Nazwiska te rzecz prosta były osobiste ulegające zmianie z każdem nowem pokoleniem, mogły być jednak wypadki w których dzieci potężnego i dzielnego wodza objawiając równe przymioty mogły otrzymać w spadku miano ojcowskie. Dzika odwaga jakiéj dawał dowody zjednała mu nazwisko *wilka*; miano to przeszło na jego dzieci i wnuków, z czasem na całe pokolenie, skoro rodzina przy zwiększonéj liczbie swych członków dała początek nowemu plemieniu. Przydomek nie zawsze oznaczał przymiot; niekiedy był pogardliwym wskazując wadę, a mimo tego przeszedł do wiadomości najpóźniejszych pokoleń. Okoliczność ta tłomaczy przyczynę dla któréj niektóre plemiona dzikich ludów miały nadane miana: żółwi, dyabłów, kaczek lub gwiazd.

Ludy najwięcéj nawet dzikie i najbardziéj ograniczone, mają zawsze pewnego rodzaju pojęcie o nieśmiertelności duszy. Wraz z ciałem nie zamiera jeszcze wszystko; pod wszystkiemi stopniami szerokości geograficznéj robione są ofiary na rzecz zmarłych, aby zjednać im łaskę a nawzajem pozyskać ich opiekę w sprawach osobistych. Z drugiéj strony język ludów pierwotnych jest nadzwyczajnie ścisły, odnosząc się do przedmiotów jasno oznaczonych. Nazwisko i rzecz sama są złączone z sobą nierozdzielnie, stając się tożsamością dla umysłów niewyrobionych. W miarę więc jak wspomnienie o naczelniku, którego miano przeszło na rodzinę a późniéj na całe plemię, zaciera się w pamięci późniejszych pokoleń, wytwarza się dążność wzrastająca coraz więcéj, odniesienia miana do rzeczywistego przedmiotu, przy otoczeniu go czcią jaka kiedyś skierowaną była do duszy samego naczelnika. Znakomity bohater z mianem *wilk* umarł, dzieci czczą jego pamięć podobnież wnuki; w trzeciem jednak i czwartem pokoleniu pamięć naczelnika ginie, w piątem zostaje samo tylko miano, którego źródła nikt nie umie objaśnić. Zwyczaj jednak czczenia wilka pozostał w braku więc widocznéj przyczyny obrzędów tego rodzaju, umysł ludzki mający wstręt do wszelkiéj niepewności, upatruje w wilku rzeczywistym bożka plemienia, otaczając poszanowaniem cały rodzaj tych zwierząt. Tym sposobem wilk został *totem*, bożkiem.

Okoliczność ta tłomaczy rozmaitość bożyszcze u plemion należących do jednéj i téj saméj rasy: z drugiéj zaś strony powszechność czci, jaką niektóre twory przyrody były otoczone pod najrozmaitszemi stopniami szerokości geograficznéj. Wąż naprzykład posuwający się zwolna, ostrożnie i bez najmniejszego szmeru a późniéj jednym rzutem nagłym swego ciała obalający najpotężniejsze ofiary, mógł być wskazówką przymiotów właściwych wielkiemu wodzowi, co niewątpliwie było powodem do oddawania mu czci w najbardziéj odległych okolicach.

Powyższa teorya tłomaczy cały *totemizm* bez wyjątku, bez względu, czy *totem* dotyczy zwierząt, czy roślin, czy nawet przedmiotów nieżywotnych. Cześć oddawana gwiazdom wedle, Spencera, wychodzi również z tego samego źródła. Poeci od najdawniejszych czasów dla odmalowania piękności ich ukochanych, porównywali je do jutrzenki i t. p. W czasie wojny niepokój był wielki o ostateczny wynik walki, skoro więc pokolenie zobaczyło wodza z twarzą opromienioną zwycięztwem, to w uniesieniu radości nadano mu miano słońca, rozpraszającego dawny smutek i niepokój. Rozumowanie powyższe, znajduje swoje usprawiedliwienie, w niektórych sprawozdaniach podróżnych. Abiponi, jedno z pokoleń amerykańskich, wychodzą, wedle ich przekonania, od konstelacyi zwanéj Pleiadami zwanemi przez lud nasz powszechnie Babkami; otóż skoro gwiazdy należące do tego działu nikną z widnokręgu, pokolenie całe jest nadzwyczajnie zasmucone; protoplasta ich jest chory, może zamrzéć, niepokój wielki; skoro jednak gwiazdy te ukażą się na sklepieniu niebieskiem, to witają je z nadzwyczajną radością przy odgłosie trąb i odpowiednich okrzykach. Pokolenia krajowców mieszkających w Sumatrze, uważają tygrysów za swoich przodków, oddając im cześć należną.

Teorya Spencera posiada jedno ważne piętno prawdy, niepospolitéj rozciągłości, zdolnéj wytłomaczyć najrozmaitsze objawy religijne.

Mówiliśmy poprzednio o trudnych do wytłomaczenia potworach, w których ciała różnych zwierząt a nawet ciała ludzkie, łącząc wzajemnie swe kształty, dają początek istotom urojonym. Spencer ma odpowiedź na wszystko. Wódz nazwiskiem *wilk*, mówi on, porywa kobietę należącą do innego plemienia, z mianem niedźwiedzia lub jakiego innego tworu. Dwa więc zwierzęta wilk i niedźwiedź zostają połączone, w miarę zatem upływu czasu, następne pokolenia w pojęciach swych łączą dwa różne kształty tworząc jedną całość.

Jeżeli kobieta należała do pokolenia nie mającego swego *totem*, w takim razie kształty jéj ciała i kształty wilka będą wyobrażeniem przodków całéj ludności, wypływającéj z tego źródła. W tym stanie rzeczy łatwo wytłomaczyć bożków egipskich, wyobrażanych przez kobietę z twarzą krogulca lub lwa. Z tego również źródła biorą początek bożyszcza babylońskie, jakotéż bujne twory mitologii greckiéj.

Oto jest w skróceniu podana teorya Spencera zasługująca z wielu względów na baczną uwagę. Autor jéj należy również do szkoły pozytywistów, ale prawdziwych, nie nagina też wypadków do swéj teoryi jak to wielu innych robi: naodwrót nie buduje swych teoryi na pewnych tylko odpowiednich do swego życzenia faktach, ale usiłuje ująć całość objawów, wyprowadzając prawidła, zdolne wytłomaczyć fakta na pozór najsprzeczniejsze. Spencer dostrzega wszędzie wielką dźwignię ludzkości, wiarę w nieśmiertelność duszy, pojętą w znaczeniu ducha, co ostatecznie jest głównym pierwiastkiem religijnym; ową ideę niewzruszoną ulegającą stopniowemu udoskonalaniu się, chociaż częstokroć pokrytą firmą najmniéj odpowiednią, będącą wypływem nizkiego rozwoju społeczeństwa. Rozdział człowieka na dwa różne pierwiastki ciało i duszę przyjęty przez Platona i całą jego szkołę, dźwignięty przez prawodawcę chrystyanizmu do godności dogmatu, na który z taką zaciętością powstają niektórzy mpiemani uczeni tegocześni, ukazuje się w całéj potędze przy pierwotnéj budowie społeczeństwa, jako jeden z motorów rozwoju cywilizacyjnego.

Nie dosyć na tem: wrodzona człowiekowi dążność do poprawienia swego bytu, wskazała wcześnie pierwotnym ludziom trudność warunków w jakich pozostają, jakotéż niedostateczność środków w wielu wypadkach: koniecznem więc następstwem rozwinięte były uczucia religijne, szukające wsparcia moralnego w niebezpieczeństwie lub zwątpieniu. Nietylko jednak uczucie wskazywało człowiekowi Opatrzność ale i prawa rozumu wiodły go do tego samego celu. Pragniemy odgadnąć przyczynę każdéj rzeczy, a chęć ta prowadzi nas bezpośrednio do Stwórcy jako pierwotnéj przyczyny wszechświata.

Pan Krantz opowiada następującą rozmowę z Eskimosem:

— Łódka nie zrobiła się sama, mówił krajowiec, ale potrzeba było w tym celu pracy i zręczności; ptak ma budowę jeszcze sztuczniejszą i człowiek nie potrafi wytworzyć ptaka. Powiadają że ptak zrodzonym jest z rodziców, a ci znowu z innych rodziców i t. d. łańcuch jednak tego rodzaju nie może być nieskończonym, dojdziemy do jego początku to jest do istoty zdolnéj wyprowadzić wszystkie twory jakie spostrzegamy na około siebie.

Biedny Eskimos rozumiał lepiéj o najwyższéj zagadce naukowéj, aniżeli wielu dzisiejszych pozytywistów.

W ogóle wedle Spencera pierwotne pojęcia religijne odnosiły się do jednego Boga, a polytheisme czyli wytworzenie bożków różnego stopnia i potęgi, jest dziełem czasów późniejszych, kiedy wyrodzona myśl ludzka zatraciła czystość pierwotnych pojęć. Znajduje się coraz więcéj zabytków stwierdzających tę zasadę.

Wedle d'Ardylla i Fergussona religia pierwotnych Aryów była bezporównania wyższą od braminizmu indyjskiego lub polytheizmu greckiego, chociaż z niéj wypłynęły te wyznania. Znalezione niedawno rękopisma sanskryckie nadzwyczajnie stare, obejmują dawne podania i pieśni religijne, w których rozwinięte są nader wzniosłe uczucia religijne; nie powstydziłby się ich najgorliwszy chrześcianin.

Na tem kończymy nasze sprawozdanie dotyczące pierwotnych pojęć religijnych i prac na tem polu dokonanych. W dzisiejszéj epoce półmędrków zarozumiałości i systematycznego zwalczania uczuć i pojęć religijnych, z prawdziwą pociechą spotykamy dzieła szukające prawdy i nic więcéj tylko prawdy, i dźwigające godność człowieka na właściwe mu stanowisko.

(*d. c. n.*)

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

Panu Bolesławowi T. w Wielgo-Wsi. Pozostałe ko. 50, oddano zarządowi opieki nad nędzą wyjątkową.

Pani Maryi R. w Zielonéj. Rubli osiem nadesłane dla nędzy wyjątkowéj oddano Zarządowi.

Szwaczce z Litwy. Słowa najprostsze i choćby najbardziéj niekunsztownie ułożone, byle pochodziły z serca, zawsze zachwyca wymowa. List też słowami serca napipisany, Autor Obrazków Warszawskich przyjął z czuciem i rozrzewnieniem i zachowa go na pamiątkę, jako dowód że praca jego nie była zupełnie marną. Dzięki za niego stokrotne dzięki: Zacna Szwaczka z Litwy nie wyjdzie mu nigdy z pamięci a za pociechę jakiéj doznał, nawzajem Bóg zapłać przesyła.

Pa. Bronisławie K. w Tadeuszowie. Początek powieści wysłano. Za życzenia Redaktor Przyjaciela serdecznie dziękuję i wdzięczny jest za pochlebne wyrażenia w liście. Młodym Czytelniczkom donosi, że dalszy ciąg walki Sobieskiego późniéj dopiero nastąpi, ale pomieści inne artykuły historyczne równie ciekawe i pouczające.

Pa. M. Ha. Wierszyki Autorki o Beniaminku w formie mają wartość, ale treść zanadto egotyczna. Jeden p. t. Wierna posłanka, pomieścimy.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, Апрѣля 10 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

PRZYSIĘGA LADY ADELAJDY.

PRZEZ

mistres Henry Wood

przekład z Angielskiego

(dokończenie)

Tiffle wyszła cofając się, odurzona i jakby rażona uderzeniem piorunu. Na schodach potrąciła służącą która właśnie biegła do niéj z uwiadomieniem że Shad chce się koniecznie z nią widzieć.

— Widzieć się ze mną?... Że też ta babka Bean zawsze mi się naprzykrza o różne lekarstwa.

Wyszła jednak do Shada, który czekał na nią oparty o ścianę domu.

— Babka kazała mi abym nie tracąc ani chwili przyszedł tu z uwiadomieniem że lord Dane wrócił.

— Wrócił, zkąd? gdzież wyjeżdżał?

— Ale nie ten z pałacu: on tak samo jest lordem jak i ja. Mówię o tym drugim... co zmartwych wstał... wiesz przecie, co to spadł kiedyś ze skały. Wprowadził się do zamku a tamtemu kazał się wynieść z niego. Babka mówiła że trzeba cię przestrzedz, mistress, co do tego Lydney'a....

— I cóż! zawołała niecierpliwie Fiffle; mówże prędzéj.

— Lydney był tu pod fałszywém nazwiskiem; on tylko pilnował aby ludzie nic złego nie czynili, ale nie był z nimi wcale w zmowie, jak sądzono. To syn tego drugiego, i nazywa się Godfred Dane: będzie kiedyś lordem Dane.

Tiffle zrozumiała od razu jak rzeczy stoją; objęła myślą całe swoje dawniejsze postępowanie i pod wpływem przerażenia padła na ziemię na pół zemdlona. Pan Shad zamiast pośpieszyć jéj na ratunek uciekł co prędzéj, i nawet nie obejrzał się na nią.

Po południu, lord Dane przyjmował u siebie mieszkańców Danesheldu, jak o tém uprzedził już pana Lester.

Wiadomość o zmartwychwstaniu Harrego Dane, jak równie o objęciu przez niego pałacu i wszelkich godności po przodkach, rozeszła się szybko po okolicy. Dowiedziano się także że w wielkiéj sali zamku miało być posłuchanie, i że milord życzył sobie aby na niém znajdowali się wszyscy, bez różnicy stanów, chłopi i mieszczanie, bogaci i ubodzy. Dodawano nawet że przemytnicy i rabusie zwierzyny byli tam wyraźnie zaproszeni.

O godzinie oznaczonéj pałac był przepełniony napływającemi do niego osobami. Służba w świetnéj liberyi Dane'ów, białéj i ponsowéj ze srebrnemi galonami, stała rzędem w Hall, a za lordem Dane Bruff i Ravensbird stali obok siebie, zarówno dumni z tego że im wyznaczono tak zaszczytne miejsce.

Przybywający cisnęli się i przepychali wzajemnie; każdy radby pierwszy powitać i złożyć hołd prawdziwemu panu Danesheldu. Wszyscy wyciągali do niego rękę, a on każdą uścisnął życzliwie, i umiał znaleźć dla każdego, jakieś miłe, przyjazne słówko. Przedstawiał wszystkim swego syna stojącego przy nim z prawéj strony; Herbert Dane i Wilfrid Lester byli także przy nim. Lord Dane życzył sobie tego, chcąc tym sposobem okazać wszystkim jaki ma dla nich szacunek, i tłumy zmienne zawsze i tak łatwo przechodzące z jednéj ostateczności w drugą, widząc że squir Lester uścisnął rękę syna, zaczęły cisnąć się do Wilfrida, aby pójść za jego przykładem.

„A! milordzie, zawołał doktór Wild, kiedy nakoniec docisnął się do lorda Dane czy to się godziło przyzywać do siebie zupełnie ci nieznanego doktora. Pan Green dopiero od dwóch lat mieszka w Danesheldzie, a ja się tu urodziłem! Ojciec waszéj wielmożności zaszczycał mnie swém zaufaniem.

— Kochany panie Wild, odpowiedział śmiejąc się lord, mianuję cię moim domowym doktorem, i od dziś zaczniesz pełnić swe obowiązki. Wprawdzie, mnie nie długo już będziesz potrzebnym, ale jeżeli syn mój zachoruje kiedy, polecam go twoim staraniom. Jakto, panie Wild, nie domyśliłeś się dla czego wezwałem do siebie zupełnie mi nieznanego lekarza? Ty poznałbyś mnie od razu, i nie potrafiłbyś mi dochować tajemnicy. Cały Danesheld poznałby ją wkrótce, a ja tego nie chciałem.

— Bądź co bądź była to dla mnie bardzo przykra chwila kiedy pomyślałem że milord nie ma we mnie zaufania! powiedział Wild.

Godfred Dane korzystając z téj rozmowy wszedł w środek tłumu. Pierwszą osobą którą spotkał był pan Bent zakłopotany widocznie.

„Mam nadzieję, rzekł, że sir zechce mi przebaczyć przeszłość; gdybym był wiedział kim sir jesteś rzeczywiście, nie poważyłbym się nigdy postępować z nim tak poufale, lecz jakże mogłem się domyśléć...

— Doprawdy, panie Bent sądziłem że jesteś rozsądniejszym, a przynajmniéj że umiałeś ocenić mnie lepiéj. Cóż ja ci mam przebaczyć? Mogłbym przeciwnie poczuwać się prędzéj do wdzięczności dla ciebie, mógłbyś mi na każdym kroku stawiać przeszkody, a nie uczyniłeś tego.

Ucieszony inspektor uścisnął z wdzięcznością podaną mu rękę. Pan Blair oddalił się już południowym pociągiem, i Bent czuł się znów ważną osobistością w Danesheldzie. Godfred Dane poszedł daléj, i spostrzegł Bena Beecher, który nie śmiał się pokazać i stał w kącie za służbą.

— A! to ty, panie Beecher? przyszedłeś odwiedzić mnie w moim własnym domu. Będziemy tu mogli porozmawiać swobodniéj niżeli w *Gospodzie marynarzy*, wszak prawda? zapytał wesoło. Ale czemu nie złożyłeś jeszcze uszanowania milordowi? ojciec twój już z nim rozmawia.

— Jakże nas zwiodłeś, sir, jak zażartowałeś z nas sobie! odpowiedział Beecher tonem błagającym, ale z pewnym odcieniem wyrzutu. Gdybyśmy byli mogli domyśléć się, sir, że jesteś lordem Dane, bo prawie nim jesteś—nie bylibyśmy nigdy powierzyli ci naszych wszystkich tajemnic, a teraz sir, nie ma już nic takiego czego nie wiedziałbyś o nas, nie wyjmując najgorszych nawet rzeczy.

William Dane roześmiał się głośno.

— Bardzo się z tego cieszę, panie Beecher! Jest to najmniejsze ze wszystkich nieszczęść jakie spaść na nas mogły.

— Tak, tak, może to być bardzo zabawne dla ciebie sir, ale my na proste twoje zeznanie moglibyśmy być jutro uwięzieni.

— I sądzisz że zamierzam to uczynić?

— O! w takim razie, odpowiedział Beecher zniżając głos, ja znów zeznałbym pod przysięgą że nas do tego namówił Wilfrid Lester; że...

— Cicho! cicho, panie Beecher. Są to już dawne dzieje, o których nigdy wspominać nie trzeba. Postanowiono już że ubiegłe wypadki będą zupełnie zapomniane.

— Czy wszystkie, wszystkie: panie Lydney?

— Panie Dane, poprawił go z uśmiechem William.

— Niech licho porwie moją pamięć! Wolałbym doprawdy aby sir nie był nigdy panem Lydney. Teraz sir zna wszystkie nasze wybiegi i sposoby, wszystkie nasze kryjówki!... i... słowem wszystko!

— Chcę o tém zapomniéć, panie Beecher; wszystko to zalicza się już do przeszłości. Musisz mi tylko przyrzec że odtąd wrócisz na dobrą drogę.

— Że wrócę na dobrą drogę?

— Słuchaj mnie, panie Beecher. Przy pierwszém naszém spotkaniu w lesie, powiedziałem ci, jak to sobie przypominasz zapewne—że jest to dla mnie rzeczą obojętną jeżeli w dzień czy w nocy zapuszczasz się w lasy lorda Dane z fuzyą w ręku, ponieważ nie są one moją własnością. Rzeczywiście nalżały do mnie, czyli raczéj do mego ojca, ale naówczas zostawały w posiadaniu tego który był uważanym za lorda Dane. Powiedziałem także że zapatrywałbym się na to inaczéj będąc ich właścicielem... Czy zdajesz sobie dobrze sprawę z obecnego położenia, panie Beecher? Obowiązek nakazuje mi czuwać nad moją własnością i będę mu posłusznym. Wprawdzie więcéj mi idzie o dobre postępowanie moich lenników niżeli o wszystkie bażanty z całéj Anglii, jednak szanuję i będę tego przestrzegać aby u mnie szanowano prawo o polowaniu. Czy nie mógłbyś stosując się ściśle do tego, postarać się o to abyś został moim przyjacielem?

— Przyjacielem! sir, powtórzył głęboko wzruszony Beecher.

— Tak, moim przyjacielem; jeźli nie zostaniesz nim to jedynie z własnéj winy. Nie przypuszczasz zapewne abym chciał korzystać z tego co mi odkrył przypadek inaczéj jak dla twego własnego dobra. Powiedziałeś mi kiedyś że tak ty sam jak i twoi koledzy postępowalibyście sobie zupełnie inaczéj, gdyby się z wami obchodzono życzliwiéj, dla czegóż więc teraz nie mielibyście wrócić na dobrą drogę? Ja o ile możności będę wam dopomagał... O! wierzaj mi, nie po to tu wróciłem aby komuś dokuczać lub szkodzić. Wiem że nieubłaganą surowością nie można ani poprawić nikogo, ani też podobać się Bogu.

Beecher milczał; znać było że stacza z samym sobą walkę.

— Znajdę dla was zajęcie... zajęcie dobrze wynagrodzone, mówił daléj William; dam wam wszystkim możność służenia mi użytecznie, a ja z mojéj strony będę zawsze waszym prawdziwym przyjacielem. Tak, panie Beecher, i możesz być pewnym że dotrzymam obietnicy. Pragnę abyśmy byli przyjaciołmi w najlepszém znaczeniu tego słowa, to jest, abyśmy nawzajem pracowali dla naszego dobra. Czy nie zechcesz mi tego przyrzec, panie Beecher?

Ben Beecher wysunął nieśmiało rękę.

— Tak, sir, przyrzekam to chętnie; tém chętniéj że już od dawna jestem znużony takiém życiem jakie prowadzę obecnie; mogę to śmiało powiedzieć

i o moich towarzyszach... a prócz tego ta ostatnia sprawa przeraziła nas wszystkich. Od dnia dzisiejszego, pójdę ślepo wytkniętą mi przez ciebie sir, drogę.

— A więc zgoda, rzekł William Dane, ściskając szczerze wyciągniętą do niego rękę. Zawarliśmy z sobą przymierze, i sądzę że go żaden z nas nie zerwie.

Przyjęcie skończyło się wreszcie, i Ravensbird zamierzał już wrócić do domu, kiedy zatrzymał go Herbert Dane. Z początku zaczął z nim mówić o rzeczach potocznych, a po tém odezwał się nagle:

„Musiałeś być bardzo zdumionym kiedy poznałeś kogo to łódź ratunkowa przywiozła do brzegu.

— Zdumionym tylko! Ja osłupiałem zupełnie! zdawało mi się że to sen tylko. Najpierwsza moja myśl, skoro już mogłem zebrać myśli, była, że musiałem być zupełnym idyotą kiedy ciało owego człowieka wyciągniętego z morza, mogłem wziąść za zwłoki mego pana. Drugiego zaraz dnia wieczorem zaczął mi zadawać rozliczne pytania, i dowiedział się że to nie jego brat starszy ale pan zostałeś lordem Dane. Nagle usiadł na łóżku, zdjął umbrelkę, i zapytał czy go poznaję. A! gdyby mnie pan widział wtenczas! Nogi się podemną zachwiały, nie byłem w stanie przemówić jednego słowa. Następnie zaczęliśmy rozmyślać nad tém czy przypuścić Zofię do tajemnicy, milord utrzymywał że się może wygadać pomimowolnie, ale ja przełożyłem mu że nie zdołamy ukryć prawdy, że ona ją sama odgadnie. W końcu milord zgodził się aby jéj powiedzieć wszystko, ale musiała przysiądz że najściśléj dochowa mu tajemnicy.

— Ravensbird'zie, odezwał się Herbert, czy byłeś świadkiem naszéj walki na skalistém wybrzeżu?... Zapewne lord Dane opowiedział ci już wszystko.

— Tak, panie, powiedział mi wszystko, ale nie po to ażebym ja mówił o tém następnie, odrzekł pełnym uszanowania tonem Ravensbird. Nie byłem świadkiem téj walki, a nawet téj nocy nie byłem wcale na skalistém wybrzeżu.

— Dla czegóż więc nie chciałeś zeznać gdzie się znajdowałeś w czasie twéj nieobecności w *Gospodzie marynarzy?*

— Była to z méj strony prosta fantazya i upór, bo nie miałem rzeczywistego powodu. Starałem się wtenczas o Zofię, i spacerowaliśmy sobie koło pałacu.

— Na kogo padały twoje podejrzenia?

— Jeżeli mam powiedzieć prawdę, to tylko na pana. Ale ma się rozumieć że nie miałem na to żadnych dowodów. Z jednéj strony byłem tego prawie pewnym że pan w tym właśnie czasie znajdowałeś się w ruinach kaplicy, i że musieliście się tam spotkać z sobą, co było powodem nieszczęścia; lecz z drugiéj znów pan zdawałeś się mnie posądzać, a prócz tego rozpuszczono jeszcze pogłoskę o kramarzu, słowem, nie mogłem mieć żadnéj pewności. Zofia także zaraz od pierwszéj chwili posądzała pana, i była przekonaną że lady Adelajda chce pana ocalić moim kosztem, ale starałem się wybić jéj tę myśl z głowy, wiedząc że mogłoby to nowe sprowadzić nieszczęście, a jak już mówiłem nawet moje posądzenie opierało się tylko na domysłach.

— Ja znów z mojéj strony, sądziłem dotąd że byłeś świadkiem naszéj walki od jéj początku do końca. Ale nie mówmy już o tém; ta pewność że on żyje uszczęśliwia mnie stokroć więcéj nad wszystkie odziedziczone po nim tytuły i dostatki.

Wieczorem był w pałacu obiad familijny, na którym prócz Dane'ów znajdowali się Lester'owie i miss Bordillion. Powstrzymywano się od wszelkich boleśnych wspomnień, ale Wilfrid uważał sobie za obowiązek uwiadomić squira Lester i jego żonę o niecnych intrygach Tiffle. Był to nowy powód wstydu dla lady Adelajdy, że słuchając zdradliwych poszeptów téj nędznicy, z taką zaciętością prześladowała Wilfrida Lester.

Nazajutrz rano pan Lester kazał przywołać do siebie Sally; i on także wstydził się swego postępowania z synem. Nie mógł już cofnąć przeszłości, ale może będzie mógł przynieść mu jakąś ulgę w obecnéj chwili, jeżeli zdoła wystarać się o trochę pieniędzy na zapłacenie dostawcom Wilfrida. Trzeba było dowiedzieć się najprzód od Sally ile wynosiły długi. Pan Lester kazał ją wprowadzić do jadalnéj sali.

Weszła tam pochmurna i zadąsana. Pan Lester zaczął jéj natychmiast zadawać pytania, tonem zimnym i dumnym, jakby to z jego strony było dowodem wielkiéj łaski i niesłychanéj względności że się tém zajmować raczy. Rzeczywiście jednak starał się tym sposobem ukryć miotające nim uczucia. Sally obliczyła długi o tyle przynajmniéj o ile je znała i przypominała sobie, ale wszystkie sięgały dawniejszéj już epoki.

„Zdaje się, powiedział pan Lester, że od pewnego czasu na niczém nie zbywało w kotażu. Zapewniono mnie że nie brakowało nawet wina. Nie rozumiem jakim sposobem mogłaś wyrobić sobie taki kredyt.

— Nie brałam na kredyt.

— Nie brałaś na kredyt?

— Nie, panie, płaciłam za wszystko gotówką.

— Zkądże brałaś na to pieniądze?

— Od kogoś takiego którego tak pan jak i inni jeszcze chcieli wpakować do więzienia jako włóczęgę i złodzieja, co mnie do takiéj doprowadziło wściekłości że byłabym rada zapędzić wszystkich razem do jednego kąta i dać im się dobrze we znaki! Polubił mnie jakoś, i pewnego dnia powiedział że powinnam wraz z nim ułożyć spisek którego celem ma być polepszenie bytu moich państwa, że musimy to uczynić skrycie, skoro pan Wilfrid nie chce otwarcie przyjąć jego pomocy. On więc dostarczał mi pieniędzy, a ja wymyśliłam sobie jakiegoś wuja, który niby to mi ich pożyczał. Tak prawda jak to że stoję tu przed panem, iż tylko jemu za to podziękować trzeba, że miss Edyta żyje dotąd jeszcze.

— Zapewne mówisz o?... pan Lester zatrzymał się, jakby nie śmiał dokończyć.

— O Williamie Lydney. O! odkąd już wiem że on jest synem kapitana Harrego Dane, już mnie to nie dziwi wcale! Ma się rozumieć że i on musiał należyć do naszego spisku, ale mało kto potrafiłby go tak dobrze poprowadzić jak ten nieoceniony młodzieniec. Trzeba panu wiedzieć że nie taka to łatwa sprawa była naówczas z panem Wilfridem, ani przystąpić do niego... Tracił zupełnie głowę i byłby dopuścił się jakiegoś nieszczęścia... Tak, panie, jakiegoś niczem niewynagrodzonego nieszczęścia! Jesteś pan jego ojcem, ale pomimo to nie będę obwijać w bawełnę. William Lydney go uratował, i przez przyjaźń dla niego znosił pogardę i krzywdzące oskarżenia.... Mówią o wrodzonéj szlachetności Dane'ów, ale niech mnie powiesza jeżeli on nie przewyższył ich wszystkich razem!

Nie skończyła jeszcze mówić kiedy za drzwiami sali jadalnéj powstał jakiś hałas. Słychać było jakieś szamotanie się i krzyki. Pan Lester sądząc że to dzieci jego tak się kłócą i biją z sobą, wstał aby je uspokoić, i zadziwił się bardzo widząc że to Tiffle i Shad wydali sobie wojnę, i drapią się, gryzą i szarpią wzajemnie.

Oto jak do tego przyszło. Shad pomieszany i wylękły zadzwonił do drzwi bocznych oświadczając że chce się widzieć z mistress Tiffle. Otworzyła mu służąca bardzo nieprzychylnie usposobiona dla Tiffle która jéj dokuczała ciągle, i dla tego też odpowiedziała mu niecierpliwie: „Sam jéj sobie poszukaj.“ Ośmielony tém Shad wszedł na korytarz i chodząc od drzwi do drzwi doszedł aż do przedpokoju, gdzie wreszcie spostrzegł Tiffle pochyloną przy drzwiach do sali jadalnéj i zaglądającą do niéj przez dziurkę od klucza. Biedaczka zaniepokojona tém że od wczoraj w położeniu różnych osób tak nagle zaszły zmiany, co zapowiadało zupełny przewrót w obecnym kierunku rzeczy, nie mogła się oprzéć chęci podsłuchania tajemnéj rozmowy Sally z panem Lester. Shad przysunął się do niéj na palcach, i schwycił ją nagle za ramiona. Tiffle struchlała ze strachu—czuła się zgubioną; schwytano ją na gorącym uczynku!—Odwróciła się drżąca, a kiedy zobaczyła kto ją tak przestraszył, nie umiała pohamować się w złości i nie pomnąc na co się sama naraża, uchwyciła Shada za włosy i zaczęła go bić co się zmieściło. Chłopak nieprzygotowany do podobnego przyjęcia, poszedł za jéj przykładem, i wkrótce rozpoczęła się zacięta walka.

„Co to ma znaczyć Tiffle? zapytał pan Lester.

Tiffle uspokoiła się nagle, i przybrała już zwykłą pokorną i słodziuchną minkę kiedy lady Adelajda weszła prawie w téjże samej chwili do przedpokoju. Shad wrzeszczał co mu garła starczyło.

— Oh! przepraszam najpokorniéj pana i milady; ten niegodziwy chłopak matki Bean tak mnie przestraszył kiedy szukając milady chciałam wejść do sali jadalnéj, że o mało nie zemdlałam. Mała miss Ada...

— Nie chciałaś tam wejść, krzyknął Shad zapyrzony; nie, wcale tam wejść nie chciałaś. Podglądałaś przez dziurkę od klucza i podsłuchiwałaś.

— Że też ten chłopak zawsze kłamać musi! zawołała Tiffle wznosząc w górę oczy. Byłabym mu już darowała że mnie przestraszył, ale to mnie rozgniewało najwięcéj, że ten ladaco ośmielił się wejść do domu gentlemana... Czy się ty nie uciszysz nieenoto?...

— Ucisz się najprzód sama, Tiffle, przerwał surowo pan Lester. Jakim sposobem wszedłeś tu chłopcze?

— Zadzwoniłem do drzwi, i powiedziałem że potrzebuję widzieć się z mistress Tiffle, a służąca która mi otworzyła wpuściła mnie i kazała abym sam jéj poszukał.

— Ty, chciałeś się widzieć ze mną! zawołała Tiffle z oburzeniem. To już bezczelne zuchwalstwo!

— Cóż miałem robić? powiedział Shad. Babka umarła... tak, umarła, i boję się tam przy niéj pozostać. Do kogóż miałem się udać?

Tiffle ochłonęła nagle z gniewu. Pan Lester zapytał chłopca o szczegóły śmierci.

— Tak jestem tego pewny że umarła na prawdę! Siedzi w fotelu sztywna z głową w tył przechyloną z posiniałą twarzą i nieruchomemi oczyma. Spałem dziś bardzo długo, i w końcu zaczęło mnie to dziwić że mnie za to nie łaje i pozwala leżyć spokojnie, wyskoczyłem prędko z łóżka, pobiegłem do niéj i zastałem ją nieżywą, a teraz za to że przyszedłem tu powiedzieć o tém, mistress Tiffle mnie bije i wyrywa mi włosy!

— Jeźli pan pozwoli może najlepiéj będzie jeźli pójdę z nim do matki Bean, zobaczyć co się tam

rzeczywiście stało — rzekła słodziutkim głosem Tiffle.

— Możesz sobie iść jeźli chcesz, odrzekł pan Lester, ale chodźno tu pierwéj Tiffle; a ty Shad usiądź tu, dodał, wskazując mu krzesło w przedpokoju.

Pan Lester zawołał Tiffle do swego gabinetu, gdzie znajdowała się już lady Adelajda i tam oznajmił jéj krótko że i on i żona jego postanowili sobie odprawić ją, zatém ma się oddalić za miesiąc.

— Odda... odda... oddalić! wyjąkała, zwracając się zmieszana ku lady Adelajdzie, cóżem zawiniła?

Pan Lester nie raczył wdawać się w długie tłomaczenia a lady Adelajda zachowała pogardliwe milczenie, pozostawiając mężowi załatwienie téj niemiłéj sprawy. Pan Lester dał jedynie Tiffle do zrozumienia iż przekonawszy się o jéj kłamstwach i chętce szpiegowania, nie mogą jéj trzymać dłużéj, a następnie przestając mówić o tém, jako niezłomném już postanowieniu—zapytał jéj wprost jakie zachodzi pokrewieństwo między nią a Shad'em.

To niespodziewane zapytanie dobiło starą intrygantkę i tak już nadzwyczaj zmieszaną nieprzewidzianém wydaleniem ze służby. Nie posiadała się ze złości, wybąkała jakieś niezrozumiałe zaprzeczenie, a nie śmiejąc hardo się stawić panu Lester, wybiegła prędko z pokoju i wywierając złość swoją na biednym Shadzie, zaczęła go drapać po twarzy i targać za włosy, aż pan Lester wydarł jéj go z rąk i wypchnął za drzwi. Wtedy zaczął krzyczéć przeraźliwie.

Rozdział XVIII.

Następuje porozumienie.

Herbert Dane wybrał sobie Paryż na miejsce pobytu; tam tylko obiecywał sobie iż będzie mógł rozerwać się i zapomniéć, a nic już nie zatrzymywało go w Danesheld. Miss Dane zamieszkała znowu w małym bluszczem pokrytym kotażu, w towarzystwie pani Knox. Całkiem zajęta obmyśleniem prześlicznéj toalety na ślub Maryi Lester, którąby szesnastoletnia panienka włożyć mogła, nie bardzo uczuła zmianę swego położenia. Zawiodły ją także nadzieje zaślubienia Williama Dane, ale pocieszała się tém że przynajmniéj będzie pierwszą jego druchną.

Dzięki wpływowi lorda Dane, Wilfrid któremu także nic nie mówiąc nikomu tenże znacznie bardzo dopomógł materyalnie—dostał znaczną posadę w Londynie, lecz miał ją objąć dopiero na wiosnę, a do owego czasu oboje z żoną pozostaną gośćmi lorda Dane. Obecnie pan Lester nie zapierał już należnego mu zapisu 800 funtów i wypłacił je rzetelnie.

„Powinien był wypłacić ci jeszcze i zaległe procenta, rzekł lord Dane, który bardzo surowo potępiał postępowanie pana Lester względem syna; niech sobie zatrzyma 14,000 funtów posagu Maryi, William go nie potrzebuje, ale tobie powinien zapłacić co do grosza.“

Ale Wilfrid, spokojny o przyszłość i mający byt zapewniony, nie chciał się o nic upominać.

Ponieważ lord Dane czuł z każdym dniem więcéj niknące siły, a chciał aby syn ożenił się zanim go osieroci, więc przyśpieszono ślub Williama i Maryi, która bynajmniéj nie sprzeciwiała się temu, uważając że dzień w którym Hall opuści, będzie dla niéj prawdziwym dniem wyswobodzenia.

Nadeszła nareszcie owa upragniona chwila. Zofia Ravensbird ubierała pannę młodą, gdyż, jak mówiła z pewną dumą narodową, nikt w całem Danesheld nie potrafi równie dobrze wywiązać się z tego zadania. Lord Dane był obecnym na ślubie w kościele, ale nadzwyczajne osłabienie nie dozwoliło mu zasiąść do weselnéj uczty, urządzonéj z nadzwyczajnym przepychem w wielkim Hallu. Zebrała się cała rodzina i liczni znajomi i przyjaciele, jeden tylko Herbert Dane uważał za stosowne pozostać w Paryżu.

Bruff kierował służbą z poważną i uroczystą miną, a Ravensbird chodził nieustannie od stołu do bufetu doglądając wszystkiego, choć był tu raczéj widzem niż sługą.

Squire Lester przewodniczył zebraniu, ale jak zwykle od pewnego już czasu, miał bardzo zgnębioną i zakłopotaną minę. Lady Adelajda starała się okazywać bardzo wesołą, ale wesołość ta była tak przesadzoną iż widać było że nie jest szczerą.

Uczta miała się ku końcowi, podano wety i placek weselny obniesiony już był do koła a szanowny pastor James wypowiedział już stojący zwykłą przemowę, gdy drzwi otwarły się cicho i ukazał się w nich chudy, wysoki mężczyzna, z ogorzałą twarzą; postąpił kilka kroków i zaczął uważnie przyglądać się biesiadnikom. Nikt go nie znał, z postawy wyglądał na wojskowego. Wszyscy patrzyli na niego z zadziwieniem; był to jakby cień Banka ukazujący się nagle wśród zabawy.

„Która z obecnych pań jest Edyta? zapytał nie ruszając się z miejsca.

Na to niespodziewane zapytanie, wszyscy zwrócili na przybyłego zadziwione spojrzenia; Edyta żywo wzruszona, chciała się podnieść i drżąca opadła na krzesło. Wtem nagle miss Bordillion krzyknęła radośnie i zerwawszy się pobiegła ku nieznajomemu,

„To on!... zawołała; tak to on, mój brat!... Ach! Henryku, jakżeś ty zmieniony!... nie poznajesz mnie! jestem Małgorzata?...

Miss Bordillion nie omyliła się; był to rzeczywiście pułkownik Bordillion, który przybył prosto z Indyj, nie uprzedziwszy o swoim powrocie. Wszyscy zbliżyli się do niego witając i winszując powrotu; Edyta była nadzwyczaj wzruszona i zmieszana. Nic w tym wychudłym siwowłosym starcu, nie przypominało jéj ojca jakiego widywała dzieckiem.

Półkownik Bordillion wodził dokoła niespokojnym wzrokiem — upatrywał może najmłodszéj i najpiękniejszéj z obecnych kobiet—gdyż zbliżywszy się do Maryi rzekł:

— Ty jesteś Edyta!

— Ojcze! ojcze!... mylisz się! to ja! zawołała Edyta, gdyż uśmiech opromieniający w téj chwili twarz półkownika, przypomniał jéj ojca, ja jestem Edyta! i miotana niewysłowionem wzruszeniem, głośno zapłakała.

— A któż ta pani? zapytał półkownik uściskawszy córkę.

— Marya Lester!

— Przepraszam! zawołał nowożeniec, Marya Dane. Wszyscy głośno się roześmieli. Półkownik wyraźnie nic nie rozumiał.

— Czy to Wilfrid Lester? zapytał wskazując na Williama Dane.

— Nie panie, jestem Godfred Dane, syn lorda Dane, odrzekł tenże.

— A tak!... tak, podobny pan jesteś do Dane'ów i z twarzy i z ruchu... Nie wiedziałem że lord Dane miał syna... ale cóż znaczy to świetne i liczne zebranie? zdaje mi się że ta piękna pani jest w ślubnym ubiorze?

Objaśniono go że był to dzień ślubu Maryi Lester i Williama Dane, poczem Wilfrid przedstawił mu się jako zięć.

„A! teraz dopiero pojmuję co miało znaczyć kilkakrotnie powtórzone mi na stacyi: „Zapóźno pan przyjedziesz.“

Zaproszony zasiadł do stołu. Był to człowiek serdeczny, szczery, otwarty, zaczął więc opowiadać swoje dzieje, nie zważając że się w licznem i obcem znajduje towarzystwie.

„Stanowczo opuściłem służbę wojskową mówił, i wracam żyć spokojnie między swemi, dopokąd mnie Bóg nie powoła do siebie. Będziemy mieszkać razem, Małgorzato.

— Dobrze, drogi bracie, odpowiedziała; ale zarazem westchnęła cicho, pomyślawszy jak nędzne ma utrzymanie, więc żadnéj wygody dać mu nie będzie mogła.

— Smutna to była sprawa to bankructwo owego banku, rzekł ktoś z biesiadników; przez nie straciłeś pan cały majątek.

— Tak myślałem z początku; powszechnie mniemano że zaledwie pięć za sto dostaniemy, ale póżniéj rzeczy inny wzięły obrót, wypadło nam przeszło pięćdziesiąt za sto. Mnie przypadło coś trochę więcéj jak 30,000 funtów.

— Co! więcéj jak 30,000 funtów?...

— Tak, i nie jest jeszcze ostatnia dywidenda.

A więc ów biedny, zrujnowany półkownik Bordillion, posiada jeszcze więcéj jak 30000 funtów!... Squire Lester nie mógł wyjść z zadziwienia; Małgorzata zamieniła spojrzenia z Wilfridem i Edytą która zaledwie zdołała przytłumić gwałtowne bicie serca.

— Więc pułkownik posiadał ogromny majątek zawołał jakiś stary gentlemen który w młodym wieku znał się dobrze z panem Bordillion.

— A pocóżbyśmy nudzili się i tracili zdrowie w Indyach, gdyby nie można tam dorabiać się majątku? Wierzajcie mi, że jak tylko odebrałem swój udział...

— Trzydzieści tysięcy funtów, powiedziałeś pan?

— Trochę więcéj, i jeszcze to nie ostatnia rata. Otóż jak tylko podniosłem tę sumę, miałem zamiar wracać do kraju aby zastąpić mego krewnego i przyjaciela, squira Lester, który dotąd sam tylko ponosił ciężar utrzymania syna i synowéj.

Nigdy twarz śmiertelnika nie pokryła się żywszym rumieńcem wstydu, jak twarz squira Lester w téj chwili. Wszystkich obecnych przykre ogarnęło wrażenie, a lady Adelajda zawstydzona i pomieszana, zwróciła na Edytę błagalne spojrzenie, zdające się mówić: „Nie zdradzaj mnie, przez litość!“ Edyta zrozumiała niemą prośbę i odpowiedziała na nią łagodnem, uspakajającym wzrokiem. Cecylia, nie wiedząc o tem, wybawiła wszystkich z drażliwego położenia. Od jakiegoś czasu przypatrywała się uważnie pułkownikowi Bordillion, zadając sobie pytanie: czy rzeczywiście jest on już tak stary i schorowany, aby nie mogła pójść za niego.

„A ze mną nie wita się pułkownik?... cóż to, czy nie przypomina mnie sobie? rzekła odważnie przystępując do niego.

— Nie... doprawdy nie, odrzekł zakłopotany półkownik; chyba... miss Harkaby?

Cecylia nie mogła powstrzymać krzyku gwałtownego oburzenia. Miss Harkaby miała już przeszło trzydzieści pięć lat, wówczas gdy pułkownik wyjeżdżał do Indyj, obecnie więc liczyła lat przeszło sześćdziesiąt. Pułkownik nie liczył ile to lat ubiegło.

— A! okrutny jesteś, półkowniku! a dawniéj byłeś taki dobry i uprzejmy. O! ja dobrze przypominam sobie Henryka Bordillion, choć byłam wów.

czas małą dziewczynką, myślałam więc że i pan nie zapomniałeś Cecylii Dane.

I biedna zalała się łzami, a obecni się śmieli.

EPILOG.

Było to wieczorem, w tydzień po ślubie. Zachodzące słońce znikało z horyzontu, ostatnie jego promienie oświecały jeszcze wzgórza Danesheldu. Wieśniacy, w świąteczne przybrani szaty, stali przy drodze naprzeciw pałacu, czekając przybycia nowożeńców którzy z powodu nagłego pogorszenia się zdrowia lorda Dane, zawrócili się z drogi z zamierzonéj poślubnéj podróży.

Nareszcie czterokonny powóz z herbami Dane'ów ukazał się na drodze; postrzegłszy takie zbiorowisko mężczyzn, kobiet i dzieci, William rzekł do żony;

— Co się to znaczy? patrz Maryo.

Zadziwiona, spuściła okno powozu, wtem prześliczny bukiet padł na jéj kolana; wyjrzała z karety i zobaczyła panią Ravensbird.

— Dziękuję ci, Zofio, dziękuję serdecznie, a zwracając się do męża, dodała: Widocznie zebrali się tu aby nas powitać, Patrz, oto twój przyjaciel, Ben Beecher.

William obejrzał się dokoła, a postrzegłszy Ben Beechera, skinął mu przyjaźnie głową; biedak aż poczerwieniał z radości i dumy.

Nieco na uboczu stały dwie osoby, zdające się upatrywać sposobności aby wejść na scenę. Kobieta miała na sobie krzyczący strój, czerwony szal i czepek z żółtemi wstążkami, a młody chłopak świeży garnitur ze świecącemi guzikami.

— Spojrzyj no na nich, rzekł William do żony.

— Shad i Tiffle!... ale jakąż papugę zrobiła z siebie.... ale zkądże jéj przyszło opiekować się Shad'em?

— A! mam mocne podejrzenie że Shad ma najzupełniejsze prawo do téj opieki.

— Z jakiego tytułu?

William uśmiechnął się tylko, nie odpowiadając. Powóz potoczył się zwolna ku bramie pałacowéj.

Gdy pan Dane wysiadłszy z karety, podał rękę żonie, pojawił się zaraz czepek Tiffle z żółto-gorącemi wstążkami. Nigdy twarz staréj jędzy nie wykrzywiła się do chytrzejszego uśmiechu.

„Życzę wszelkich pomyślności i największego szczęścia milordowi i milady, wołała kłaniając się aż do ziemi. Niech Bóg da najdłuższe życie lady i lordowi Dane.

— Wiwat! krzyczał Shad, wiwat lord Dane!

Usłyszawszy ostatnie słowa, William Dane zadrżał.

— Przecież nie jestem jeszcze lordem Dane, rzekł mocno wzruszony.

— W każdym razie niedługo to nastąpi, odpowiedziała Tiffle.

— Dziękujemy, odrzekł William, odwracając się od niéj.

Mimo to Tiffle nie dała za wygraną.

„Ponieważ uzbierałam sobie tyle iż mi wystarczy na skromne utrzymanie, więc zamieszkam stale w chatce zmarłéj matki Bean. i byłabym najszczęśliwsza gdybym mogła usłużyć w czem waszéj wielmożności i milady.

— Zapewnie Shad zamieszka z tobą i będziesz się nim opiekować? zapytał lord Dane.

— Tak milordzie, nie wstydzę się wyznać w obec moich nieprzyjaciół że nie jest on mi obcym... zachodzi pewne pokrewieństwo.

— Najlepiéj byłoby dla Shada gdyby najpierw oddać go do jakiego domu poprawy, a następnie do szkoły rzemiosł, żeby się nauczył uczciwie na chleb pracować. Obiecałem mu dopomódz i dotrzymam słowa, ale przedewszystkiem trzeba żeby już przestał wieść takie próżniacze i włóczęgoskie życie.

— Dziękuję waszéj wielmożności za jego dobre chęci, ale nie będę miéć przyjemności korzystania z nich, odrzekła Tiffle, rozzłoszczona do najwyższego stopnia iż radzono jéj oddać Shada do domu poprawy. Obecnie Shad nie będzie już włóczęgą gdyż ja adeptuję go... na mego siostrzeńca i spadkobiercę.

William Dane rozśmiał się słysząc to napuszone oznajmienie i odwróciwszy się od Tiffle zbliżył się do tłumu.

Piękny to był i wzruszający obraz. Z jednéj strony wznosił się poważny, starożytny pałac, ze swemi wieżycami i powiewającą chorągwią, z drugiéj tłum poczciwych mieszkańców Danesheldu, przybyłych powitać przyszłego pana, który stał z odkrytą głową a ostatnie promienie słońca oświecały piękną, myślącą twarz jego. Podziękował im serdecznemi słowy i uścisnął uprzejmie wyciągnięte ku niemu dłonie. W téj chwili wszyscy zrozumieli że przyszły pan Danesheldu będzie dla nich prawdziwym opiekunem i przyjacielem. Marya wsparta na ramieniu Williama była silnie wzruszona, łzy szczęścia w oczach jéj zabłysły.

Gdy nareszcie mogli wejść do pałacu, lord Dane wyszedł na ich spotkanie. Tego wieczora czuł sió lepiéj; zdawało się że choroba ustąpiła na chwilę, aby mu pozwolić uroczyście powitać syna i przybraną córkę; ale William przeraził się mocno, widząc jak bardzo ojciec jego zmienił się przez te parę tygodni. Czując się znużonym, lord Dane przeszedł do swego pokoju, aby odpocząć chwilkę przed obiadem.

— Myślałem że milord jest tu, rzekł Bruff który przyszedł oznajmić że już na stole.

— Przeszedł na chwilę do swego pokoju; idź daj znać lordowi Dane że podano obiad, rzekł William. Bruff powrócił niezadługo.

— Nie mogłem wejść do milorda, rzekł cicho, drzwi są zamknięte i nic mi nie odpowiedział.

William pobiegł do pokoju ojca, ale zastał drzwi zamknięte, jak to powiedział Bruff. Zapukano do drzwi, żadnéj odpowiedzi'

— Trzeba wyłamać drzwi, rzekł William.

Lord Dane leżał zemdlony na łóżku; przyzwany lekarz zdołał go otrzeźwić, ale widocznie śmierć szybkim zbliżała się krokiem. Odzyskał jednak zupełnie przytomność i zdawał się spokojnym. Lady Adelajda pomieszana i znękana uklękła przy jego łóżku, ukrywając w dłoniach swoją twarz wybladłą. Wyznania złożone lordowi Dane nie wróciły jéj spokoju serca i umysłu., dręczył ją wyrzut sumienia i obawa aby nieprzewidziany jakiś wypadek nie wyjawił wszystkim że wykonała fałszywą przysięgę.

Na chwilę została sama w pokoju umierającego. Nagle podniosła głowę i patrząc na niego wyszeptała kilka słów błagalnych i w przystępie gwałtownéj rozpaczy, głosem przerywanym łkaniem, wypowiedziała mu swoje obawy i dręczące ją wyrzuty sumienia, nie dozwalające jéj zaznać chwili spokoju.

— A któż temu winien, Adelajdo, jeźli nie ty sama, odrzekł łagodnie lord Dane biorąc jéj rękę. Pragniesz spokoju duszy... a cóż uczyniłaś aby go posiąść? czemże zasłużyłaś na niego?

Czuła dobrze że miał słuszność i głębokie westchnienie wydarło się z jéj piersi.

„Powtórzę ci, Adelajdo, co zdaje mi się raz już ci powiedziałem, iż to tylko zbieramy co zasiejemy... inaczéj być nie może, takie jest prawo Boże. Rozrucaj kwiaty po swojéj drodze a z biegiem życia kwiaty w około ciebie wyrastać będą i będziesz kochana i błogosławiona; jeźli zaś rzucasz same tylko ciernie i kolce, wtedy do ostatniéj życia chwili będziesz się kaleczyć i ranić.

— Rózrucać kwiaty? zapytała nie rozumiejąc słów jego.

— Tak kwiaty wskazane nam przez Chrystusa: miłość dobroć, poświęcanie i zaparcie się siebie. Adelajdo, masz jeszcze czas przed sobą — na poprawę i pokutę nigdy nie jest za późno; powinnaś zmienić twoje złe i naganne postępowanie! Czyż możesz się spodziewać spokoju i jasności wiekuistéj, tam, w lepszym świecie, jeźli tu nie starasz się zasłużyć na nie.

— Ach! gdyby to było możebnem!... oh! Harry, gdybym mogła!...

I czemużbyś zaraz od dziś nie miała sprobować?..' Wiem że z początku przyjdzie ci to z trudnością; będziesz musiała nieustannie walczyć sama z sobą. uzbroić się w cierpliwość i wytrwałość, ale silną wolą możesz przełamać trudności. Pozbądź się swego wstrętnego egoizmu, bądź odtąd dobrą łagodną, litościwą i pełną współczucia dla smutnych i cierpiących, niech miłość chrześciańska zagości w twem sercu a będziesz szczęśliwa i spokojna... Adelajdo zachowaj w pamięci te słowa moje, jako ostatnią radę i przestrogę umierającego.“

W kilka godzin póżniéj, spuszczono chorągiew powiewającą nad pałacem, William Henryk siedmnasty z kolei baron Dane przeniósł się do wieczności.

Lord Dane został pochowany w grobie rodzinnym, obok owego nieznajomego który spoczął w nich za niego. Herbert przyjechał na pogrzeb. Nigdy jeszcze w Danesheld tak liczne tłumy nie towarzyszyły pogrzebowi. Godfrid William, ośmnasty baron Dane, prowadził kondukt żałobny, postępując tuż za trumną; o parę kroków za nim szli Herbert i squire Lester, dalej inni obecni.

Po powrocie z kościoła, rodzina i przyjaciele zebrali się w wielkiéj sali, a pan Apperly otworzył testament. Lord Dane o nikim nie zapomniał. Herbertowi zapisał 1,200 funtów rocznego dochodu. Cecylii 300 funtów dożywotniéj pensyi, a Wilfridowi Lester 15,000 funtów, jako dowód wdzięczności za ocalenie życia mnie i memu synowi, którego życie stokroć mi droższe było niż moje własne, oto jak stało w testamencie. Bruff'owi zapisał 700 funtów, a 1,500 funtów „memu wiernemu słudze i przyjacielowi, Ryszardowi Ravensbird.“ Daléj jeszcze 2,000 funtów do równego rozdziału między służbę pałacową. Reszta majątku przechodziła na syna jego Godfreda Williama Dane.

„Jakiż to Krezus przeniósł się do wieczności! zawołał pan Wild, którego także zmarły nie pominął w testamencie.

Więcéj jak Krezus, bo zacny i szlachetny człowiek, rzekł młody lord ze łzami w oczach.

— O to prawda! odrzekł doktór Wild; w młodości był może trochę za popędliwy, ale dalsze życie jego było tak zacne i piękne, iż niezawodnie zjednało mu wiekuistą szczęśliwość; obyśmy wszyscy umieli tak żyć i tak umierać!

— Amen! odpowiedział wzruszonym głosem lord Dane.



N. 1. Kapotka z kolorowej słomki. Patrz ryc. 16.

N. 2. Kapelusz okrągły z bronzowej słomki.

N. 3. Kapelusz okrągły z piaskowej słomki.

N. 4—5. Kapelusz okrągły z czarnej słomki.

N. 6. Kapotka z kolorowej słomki. Patrz ryc. 1.

Opis do N-ru 17.

(Dokończenie).

Szew przedni zaczyna się w odstępie 56 cent. od góry wyżej zaś podszyte są z brzegów listewki 2 centym. szerokie do dziurek i guzików. Dla gładkiego leżenia spódnicy potrzeba w każdej połowie przodu dać cztery głębsze lub mniejsze zaszewki, odpowiednio do figury; u dołu spódnicy dana haftowana falbaneczka 2 cent. szeroka, wyżej zaś wolanty 16 cent. szerokie zachodzące na siebie, oszyte nicianą koronką.

N. 45. Ubranie małego chłopczyka.

Uszyte z ciemnego szkockiego materyału, ozdobione złotemi guziczkami; długi gładki stanik dopełniony fałdowaną spódniczką 22 cent. długą a 280 szeroką; majtki dopasować można podług kroju w dawniejszych N-rach. Szarfa związana z tyłu 20 cent. szeroka, 134 długa może być jedwabna lub z tego co ubranie materyału.



N. 7. Ubranie wizytowe.



N. 8. Ubranie balowe.

N. 46. Sukieneczka princesse z odcinaną spódniczką dla małej dziewczynki.

Plecy złożone z kilku części i przody założone w drobne zakładki, dopełnione są na długość częścią spódniczkową 21 cent. długą, 120 szeroką, założoną z tyłu w kontrafałdę; u góry na zszyciu dana plisa 8 c. szeroka. Sukienka z szerokim wykładanym kołnierzykiem przedstawiona na rycinie 46 jest z bronzowego kaszmiru, ozdobiona jedwabną plisowaną falbaneczką 5 centym. szeroką, i złotym sutaszem.

N. 47. Sukienka dla panienki lat 12—14.

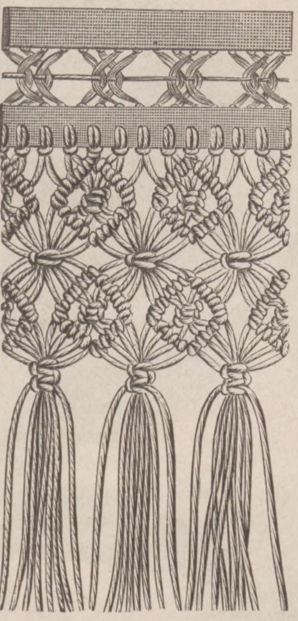
Uszyta z ciemnego wełnianego materyału, ozdobiona wypustkami z kolorowego atlasu, u dołu oszyta plisowaniem 18 c. szerokim. Tunika podpinana z boków jest z przodu 76 cent., z tyłu 88 centym. długa u dołu 200 szeroka oszyta plisą 10 c. szeroką. Stanik z tyłu ma baskinę frakową, przody założone w wązkie zakładeczki, przyciśnięte są paskiem idącym do boków.

N. 48. Ubranie dla dziewczynki lat 6 — 8.

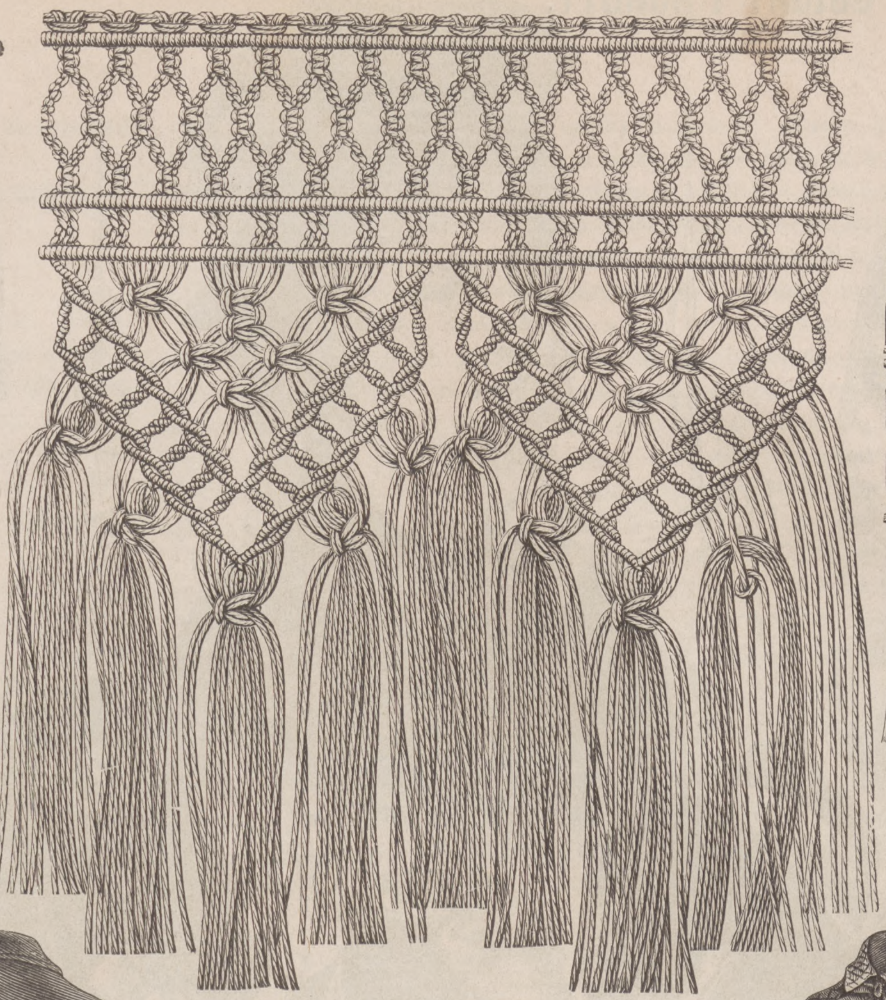
Spódniczka 53 cent. długa a 150 cent. szeroka u dołu oszyta jest dwiema plisowanemi falbankami; vêtement formą paletocika za pięte na dwa rzędy guzików, z przodu 67, z tyłu 70 cent. długie, zdobią pliski z jedwabną wypustką; środek przodów wycięty u dołu w dwa proste zęby. Kokardy z z wstążki 4 i 8 cent. szerokiej.

N. 49—53. Ubrania balowe albo na uroczystości ślubne.

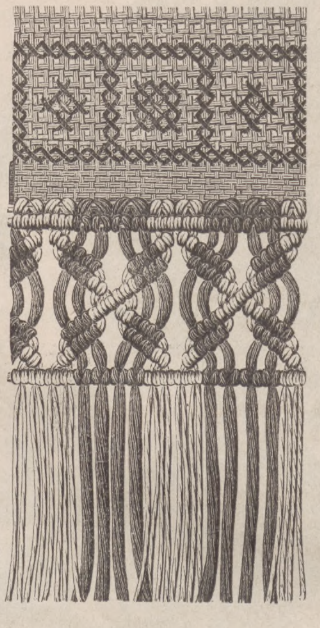
Rycina 49 — 53 przedstawia rozmaite fasony staników i przybrań górnej części spódnic, do których stosowne dolne garnirunki łatwo w poprzedzających N-rach Tygodnika dobrać, lub podług własnego gustu dopełnić.



N. 9. Frendzla macremé.



N. 10. Frendzla macramé wiązana w zęby.



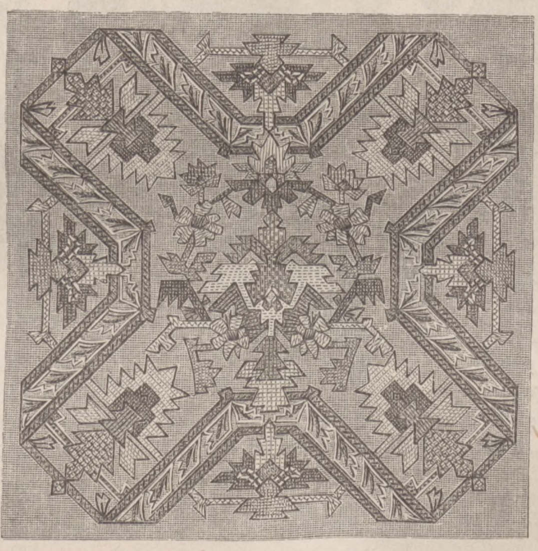
N. 11. Frendzla macramé ze szlakiem krzyżykowym.



N. 12. Kokarda z końcami oszytemi frendzlą.



N. 15. Suknia z fałdowanym stanikiem i tuniką ryc. 1 w N-rze 16 i ryc. 16.



N. 14. Haft na poduszkę do kanapy. Patrz rycina 16 w N. 16.

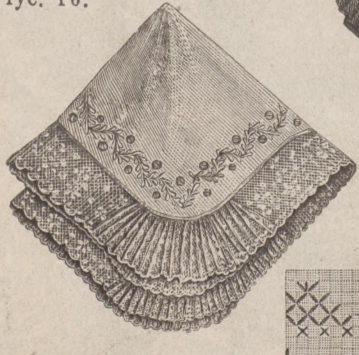




N. 13. Żabot z koronki i wstążki.



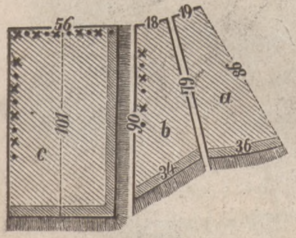
N. 18—20. Trzy krótkie spódniczki.



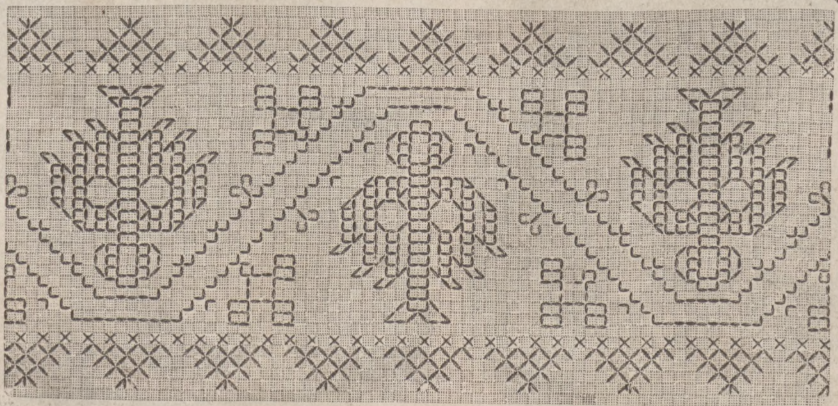
N. 21. Chusteczka z koronką.



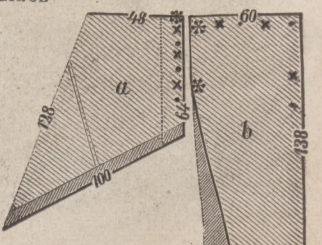
N. 22. Chusteczka z obrębem i szlaczkiem.



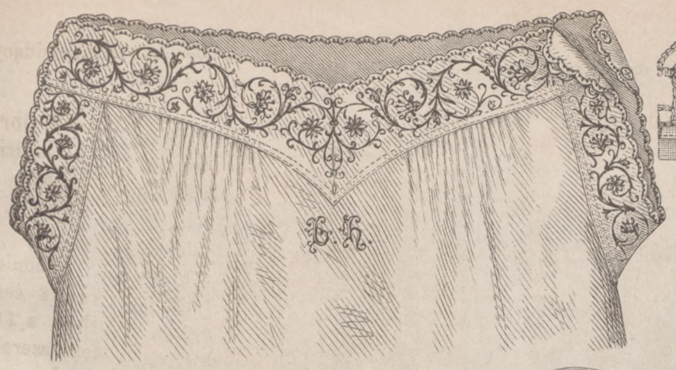
N. 16. Wskazanie kroju do ryciny 1 w N. 15 i 16.

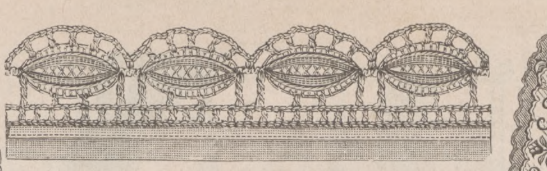


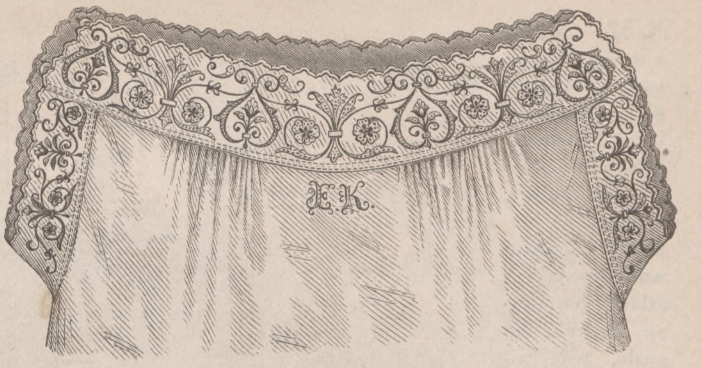
N. 24. Szlak wyszyty ściegiem jednakowym na dwie strony, do serwet, ręczników i t. p.

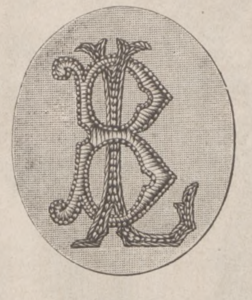


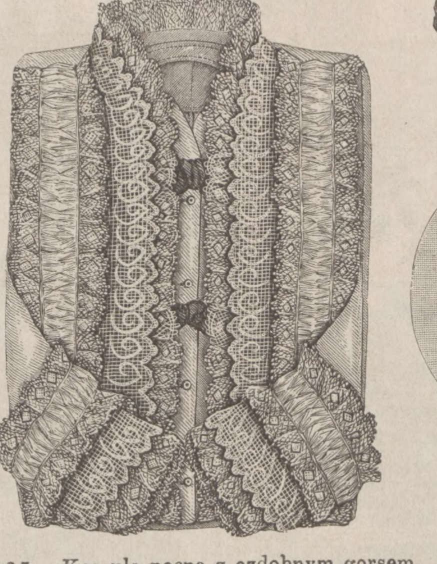
N. 23. Wskazanie kroju tuniki do ryc. 33 w N-rze 16.


N. 25. Koszula z karczkiem haftowanym. Patrz ryc 5 w N. 16.


N. 28. Ząbki do bielizny.


N. 26. Koszula z karczkiem haftowanym. Patrz ryc. 4 w N. 16.

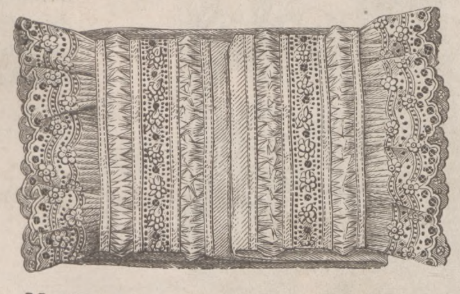

N. 33. Monogram.


N. 27. Koszula nocna z ozdobnym gorsem.

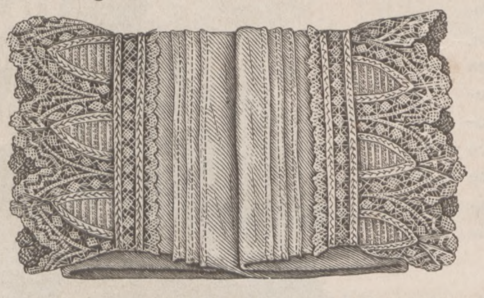

N. 34. Monogram.

N. 49. Ubranie ze stanikiem gorsecikowym.

Spódnicę sukni jedwabnej paljowego koloru, zdobią falbany z koronki bretońskiej, naszyte w okrągłe zęby. Stanik gorsecikowy dopełniony jest w górze suto fałdowaną szmizetką z jedwabnego tiulu, bardzo krótkie rękawki pokryte są pukielkami ze wstążki 4 centym. szerokiej, której lewa strona powinna być tego co kwiaty koloru.


N. 29. Majtki zdobne wszywką i bufkami.


N. 31. Patarafka ze szlakiem danym z jednej strony.


N. 30. Majtki zdobne zakładkami i nicianą koronką.

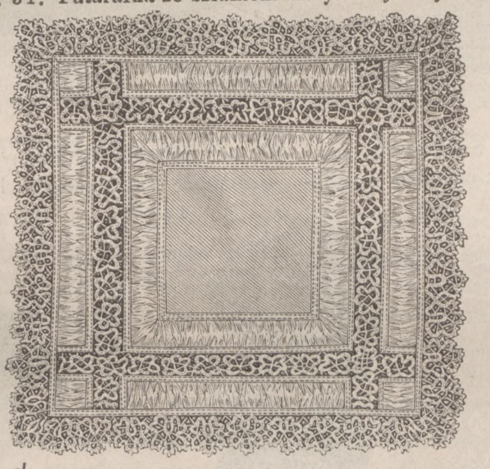
N. 50. Ubranie ze stanikiem wyciętym w karo.

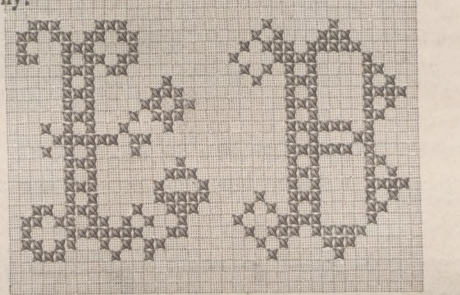
Ubranie takie bardzo stosowne dla młodzitkich panien, może być odrobione z lekkiej jedwabnej materyi, z muślinu białego lub kolorowego albo z letnich wełnianych materyałów. Przedni bryt spódnicy bez trenu układa się w kontrafałdy, a bryty boczne i tylne w fałdy pojedyncze, które w górze powinny głębiej zachodzić do kolan rozszerzać się stopniowo i być od spodu nieznacznie szczepione, a dalej od dołu puszczone luźno. Na brycie przednim w odstępach między fałdami, dane są wstawki koronkowe przytrzymane tylko poprzecznie w równych odstępach naszytemi koronkowemi falbankami. Stanik bluzkowy wycięty w karo, objęty jest pliską, i przepasany szerokim paskiem atłasowym, tego co suknia koloru.

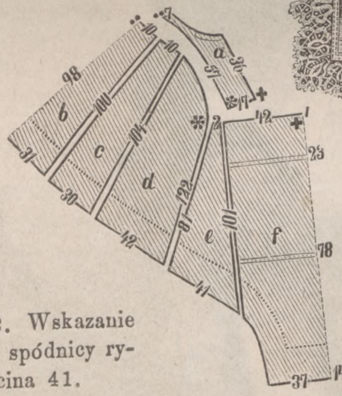
N. 51. Stanik z bardzo długą w ząb otwartą baskiną frakową.

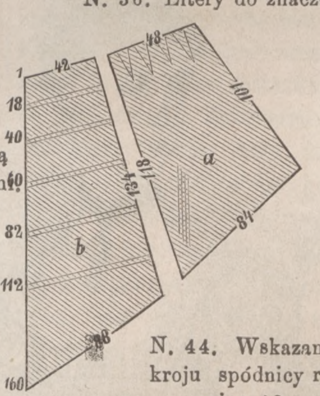
Do sukni atłasowej malinowego koloru, niezwykłego fasonu stanik zrobiony był z aksamitu znacznie ciemniejszego odcieniu, z kamizelką i środkową fałdowaną częścią pleców z atłasu tego co suknia koloru. Spódnica bez garnirunku miała bryt przedni poprzecznie marszczony a z tyłu ułożony w górze w sute odstające kontrafałdy.


N. 35. Litery do znaczenia bielizny.


N. 32. Poszewka z koronkową wszywką i bufkami.


N. 36. Litery do znaczenia bielizny.


N. 42. Wskazanie kroju spódnicy rycina 41.


N. 44. Wskazanie kroju spódnicy rycina 43.


N. 37. Ręcznik z kolorowym szlakiem.


N. 39. Bucik spacerowy z elastyką.


N. 38 Guziczek do r. 25.


N. 40. Bucik spacerowy zapinany na guziki.


N. 41. Spódnica z trenem ściętym prosto Patrz ryc. 42.


N. 43. Spódnica z trenem ściętym okrągławo. Patrz rycina 44.

N. 52. Suknia z wyciętym kirasowym stanikiem, odrobiona była z atłasu i gros-grin jednakowego koloru. Garnirunek stanowiły kosztowne koronki i szlaki haftowane na tiulu lub gazie, pełą różno kolorową lub do cieniu. Obecnie do podobnych haftów używane są błyszczące, kolorowe metalowe nici, świetnie zdobiące ubranie. Na modelu spódnica ze zwierzchnim trenem, miała bryt przedni z gros-grin, a stanik i tren z atłasu. Ciemno karmazynowe, błyszczące owoce uwinięte w gałązki, zastępowały kwiaty.



N. 45. Ubranie dla małego chłopczyka. N. 46. Sukieneczka princesse z odcinaną spódniczką. N. 47. Suknia z fałdowanym stanikiem dla panienki lat 12—14. N. 48. Suknia z vêtement dla panienki lat 6—8.

N. 53. Ubranie à la Watteau.

Stanik z bawetem i tuniką z przodu podpina „a panier," cdrobione były z blado różowej faille przerabianej w rzucik z kwiatków. Spódnica zaś ozdobiona z przodu lekką draperyą, była z materyi gładkiej, takiego samego koloru. Między szeroką różową frędzlę, mieszane sznureczki pereł. Stanik ubrany koronką i bufkami z jedwabnego tulu, podwleczonemi wstążką.



N. 49. Ubranie balowe z gorsecikowym stanikiem. N. 50. Ubranie wieczorowe ze stanikiem wyciętym kwadratowo. N. 51. Suknia ze stanikiem z długą frakową baskiną wyciętą z tyłu. N. 52. Ubranie balowe z kirasowym stanikiem. N. 53. Ubranie à la Watteau.